Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 17. Sierpnia 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 29.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

PRZEZ STEPY.

OPOWIADANIE KAPITANA R.

Napisał

LITWOS.

(Ciąg dalszy).

V.

Na drugi dzień ruszyliśmy dalej, i przed nami legł step jeszcze obszerniejszy, równiejszy, dzikszy, krainy, stopą Białych zaledwie wówczas dotkniętej, słowem: byliśmy w Nebrasce. Przez pierwsze dni posuwaliśmy się dość szybko po bezdrzewnych przestrzeniach, ale nie bez trudności, albowiem brakło nam zupełnie drzewa na opał. Brzegi rzeki Platy, przecinającej całą długość tych niezmiernych równin, są wprawdzie pokryte gęstemi zaroślami łozy i wierzby, ale, że rzeka ta płynąca płaskiem korytem, naonczas, jak zwykle wiosną, wylała, musieliśmy się trzymać z daleka. Tymczasem noce spędzaliśmy przy mdłych ogniskach z bawolego gnoju, który, nie wysuszony jeszcze dostatecznie słońcem, tlił się raczej błękitnym płomykiem, niż palił. Zdążaliśmy więc z wielkiem wysileniem ku Big Blue River, gdzie mogliśmy znaleść obfitość paliwa. Okolica nosiła na sobie wszystkie cechy ziemi zupełnie pierwotnej. Raz wraz przed taborem, ciągnącym teraz w bardziej zwartym łańcuchu, pierzchały stada antylop o sierci rudej i białej pod brzuchem; czasami z fali traw wynurzał się potworny, kudłaty łeb bawołu o krwawych oczach i dymiących chrapach, to znów liczne ich gromady, niby czarne ruchome punkciki, widać było na dalekości stepowej.

W niektórych miejscach przejeżdżaliśmy koło całych miast, złożonych z kopców, usypanych przez pieski ziemne. Indjanie nie pokazywali się zrazu, i dopiero w kilka dni później ujrzeliśmy trzech dzikich jeźdźców strojnych w pióra, którzy jednak natychmiast znikli nam, jakby widziadło, z oczu. Przekonałem się później, że krwawa nauka, jaką dałem im nad brzegiem Missouri, uczyniła szybko imię: „Bigara“ (tak bowiem przerobili Big Ralf) strasznem między licznemi pokoleniami rabusiów stepowych, łaskawość zaś, okazana jeńcom, ujęła te ludy dzikie i złośliwe, ale nie pozbawione uczuć rycerskich.

Przybywszy do Big Blue River, postanowiłem zatrzymać się przy jej lesistych brzegach przez dni dziesięć. Druga połowa drogi, która leżała przed nami, trudniejsza była od pierwszej, albowiem za stepami leżały góry Skaliste, a dalej „złe ziemie“ Utahu i Newady. Tymczasem muły nasze i konie, pomimo obfitości paszy, były zdrożone i wychudłe, koniecznem było zatem wzmocnić dłuższym odpoczynkiem ich w trójkącie, utworzonym przez rzekę Big Blue i Beaver Creek, czyli: Strumień-Bobrowy. Silna pozycja zabezpieczona z dwóch stron korytami rzek, z trzeciej wozami, stała się prawie niezdobytą, tembardziej, że drzewo i woda znajdowały się na miejscu. Czynność więc obozowa była tu prawie żadną, zbytnie czuwanie niepotrzebne, a ludzie z całą swobodą mogli używać wywczasu. Były też to najpiękniejsze dni naszej podróży. Pogoda utrzymywała się cudna, a noce zrobiły się tak ciepłe, że można było spać pod gołem niebem. Ludzie rankiem wychodzili na polowanie; w południe wracali obarczeni antylopami i stepowem ptactwem, którego miliony znajdowały się w okolicy; resztę dnia spędzali, jedząc, śpiąc, śpiewając lub strzelając dla zabawy do dzikich gęsi, przelatujących całemi kluczami nad obozem. Nad te dziesięć dni nie było też lepszych ani szczęśliwszych w mojem życiu. Od rana do wieczora nie rozłączaliśmy się z Lilian ani na chwilę, a ten początek, już nie przelotnych widzeń, ale jakby pożycia, przekonywał mnie coraz bardziej jak na zawsze pokochałem tę łagodną i dobrą istotę. Poznałem ją teraz bliżej i głębiej. W nocy często zamiast spać, zastanawiałem się co w niej jest, że stała mi się taka droga i taka potrzebna w życiu, jak powietrze do oddychania. Bóg widzi! kochałem bardzo jej śliczną twarz, i jej warkocze długie i oczy takie błękitne, jako to niebo nad Nebraską i jej postawę wysmukłą a wiotką, co zdawała się mówić: wesprzyj mnie i broń zawsze, bo bez ciebie nie dam sobie rady na świecie! Bóg widzi! kochałem wszystko, co w niej było, każdą jej mizerną sukienkę, i tak mnie do niej ciągnęło, że ot! rady sobie dać nie mogłem; ale był jeszcze inny w niej dla mnie urok, a to jej słodycz i tkliwość. Wiele kobiet spotkałem w życiu, ale takiego anioła nie spotkałem i nie spotkam już nigdy i wieczny smutek czuję, gdy sobie o tem pomyślę. Dusza w niej była taka tkliwa, jak ten kwiatek co liście tuli, gdy się do niego zbliżyć. Na każde moje słowo wrażliwa, umiała wszystko odczuć i każdą myśl tak w sobie odbić, jako woda głęboka, a przejrzysta odbija, co nad jej brzegiem przemknie. Przytem to czyste serce z taką się uczuciu podawało wstydliwością, żem czuł jak musi kochać, gdy słabnie i na ofiarę się daje. A wtedy, co tylko dusza męska ma w sobie poczciwego, to się zmieniało w jedną wdzięczność dla niej. Ona była poprostu moja jedyna, moja najmilsza w świecie, tak skromna, że ją musiałem przekonywać, że kochać to nie grzech, i ciągle łamałem sobie głowę, jak ją przekonać. Na takich wzruszeniach upływało nam owych dni dziesięć w widłach rzecznych, gdzie wreszcie spełniło się moje szczęście najwyższe. Raz świtaniem poszliśmy na przechadzkę w górę Beaver Creek; chciałem pokazać jej bobry, których całe państwo kwitnęło sobie, nie dalej jak o pół mili od naszego taboru. Idąc ostrożnie brzegiem wśród zarośli, wkrótce znaleźliśmy się u celu. Była tam niby zatoka, niby jeziorko, utworzone przez strumień, na okół którego stały wielkie drzewa hikoro; nad samemi zaś brzegami rosły wierzby, połową gałęzi zanurzone w wodzie. Tama bobrowa nieco wyżej na strumieniu, tamując bieg jego, utrzymywała w jednej zawsze wysokości wodę w jeziorku, nad którego jasną powierzchnią wystawały okrągłe na kształt kopułek, domki tych przemyślnych zwierzątek.

Noga ludzka prawdopodobnie nie postała nigdy w tem ustroniu, zakrytem ze wszystkich stron drzewami. Rozsunąwszy ostrożnie cienkie pręty wierzbowe, patrzyliśmy oboje na wodę gładką jak lustro, i błękitną. Bobry jeszcze nie były przy pracy; wodne miasteczko spało widocznie spokojnie i taka cisza panowała na jeziorku, żem słyszał oddech Lilian, której złota główka, wsunięta wraz z moją w otwór między gałęziami, opierała mi się o skroń. Otoczyłem kibić dziewczynki ręką, aby ją podtrzymywać nad pochyłym brzegiem, i czekaliśmy cierpliwie, napawając się tem, co ogarniały oczy nasze. Przywykły do życia w pustyniach, kochałem przyrodzenie, jakby matkę własną, i choć poprostu, ale czułem, co tam już było jakoby bożem uradowaniem się ze światą. Ranek był wczesny, ledwie zorze ranne weszły i czerwieniły się między gałęziami hikorów; rosa spływała po liściach wierzbowych, i coraz było świetliściej. Potem na drugi brzeg przyszły kurki stepowe, szare, z czarnem gardłem, zdobne kitkami na głowach, i piły wodę zadzierając dzioby do góry. „Ach Ralf! jak tu dobrze!“ — szeptała mi Lilian, a mnie już nic innego nie było w głowie, jak tylko chata tam jaka w zapadłym kanonie, ona przy mnie, i taki różaniec spokojnych dni, coby sobie spłynął cicho w wieczystość i w ostatnie uspokojenie. Więc nam się teraz zdawało, że my do tego wesela przyrody przynieśli nasze wesele, do tego spokoju nasz spokój i do tego świtu ten świt szczęśliwości, który był w naszych duszach. Tymczasem gładka toń porysowała się w koła, i z wody wynurzyła się zwolna głowa bobra wąsata, mokra i różowa od blasku rannego, potem druga, i dwa zwierzątka popłynęły ku tamie, rozcinając pyszczkami modrą szybę, prychając i mrucząc. Wszedłszy na tamę i siadłszy na tylnych łapkach, poczęły skrzeczeć, a na to hasło, większe i mniejsze głowy wynurzyły się, jakby przez jakie czarodziejstwo; na jeziorku rozległ się plusk. Stadko zdawało się z początku bawić tylko, kąpać i krzyczeć po swojemu z radości, ale pierwsza para, poglądająca z tamy, wydała nagle nozdrzami świst przeciągły, i w mgnieniu oka pół czeredy znalazło się na tamie, drugie pół popłynęło ku brzegom i znikło pod frendzlami wierzb, pod któremi woda zaczęła się burzyć, a odgłos, jakby piłowanego drzewa, donosił, że zwierzątka pracują tam, tnąc gałęzie i korę. Długo bardzo patrzyliśmy z Lilian na te obroty i na uciechy zwierzęcego życia, póki go człowiek nie zamąci; nagle ona, chcąc zmienić postawę, poruszyła wypadkiem gałęzie, i w mgnieniu oka znikło wszystko; tylko rozhuśtana woda wskazywała, że coś tam było, ale po chwili woda wygładziła się, i znów otoczyła nas cichość przerywana tylko pukaniem dzięciołów w twardą korę hikorów. Tymczasem słońce podniosło się nad drzewa i poczęło silnie dogrzewać. Ponieważ Lilian nie czuła się jeszcze zmęczona, postanowiliśmy obejść na około zatokę. Po drodze spotkaliśmy inny mały strumień, przecinający las i wpadający właśnie do zatoki ze strony przeciwnej. Lilian nie mogła go przejść, musiałem ją więc przenieść i, mimo oporu, wziąwszy ją jak dziecko na ręce, wszedłem w wodę. Ale strumień ten, to był strumień pokus. Bojaźń, abym nie upadł, sprawiła, że Lilian, objąwszy mnie obiema rękoma za szyję, przytuliła się do mnie ze wszystkich sił i tylko twarz zawstydzoną kryła za mojem ramieniem, a ja zaraz zacząłem usta przyciskać do jej skroni — szepcząc: Lilian! moja Lilian! I tak ją niosłem przez strumień. Gdym stanął na drugim brzegu, chciałem ją nieść dłużej, ale wydarła mi się prawie przemocą. Oboje nas ogarnęła jakaś niespokojność, ona zaś zaczęła się oglądać, jakby się bojąc i to bladość, to różowość biły na przemian na jej twarz. Szliśmy dalej. Wziąłem jej rękę i począłem przyciskać ją do serca. Chwilami brał mnie strach przed samym sobą. Dzień stawał się znojny; żar spływał z nieba na ziemię; wiatr nie wiał; liście na hikorach zwisły nieruchomie, dzięcioły tylko biły, jak dawniej, w korę, ale wszystko zdawało się usypiać i od upału słabnąć. Myślałem, że czary jakieś są w powietrzu i w tym lesie, a potem myślałem tylko o tem, że Lilian jest przy mnie, i żeśmy sami. Tymczasem poczęło ją ogarniać zmęczenie, bo oddech jej stawał się coraz krótszy i głośniejszy, a na twarz zwykle bladą wybiły ogniste rumieńce. Pytałem jej się, czy nie zmęczona i czy nie zechce odpocząć? „O nie! nie!“ — odrzekła szybko, jakby broniąc się od tej myśli nawet, ale po kilkunastu krokach, zachwiała się nagle, szepcząc: „Nie mogę! naprawdę nie mogę dalej!“ Wtedy wziąłem ją znów na ręce i zszedłem z tym drogim ciężarem do samego brzegu, gdzie gałęzie wierzbowe zwieszone aż do ziemi, tworzyły jak gdyby cieniste korytarze. W takiej alkowie zielonej złożywszy ją na mchach, klęknąłem przy niej, ale, gdym na nią spojrzał, serce ścisnęło się we mnie. Twarz jej pobladła, jak płótno, a rozszerzone oczy patrzyły na mnie z przestrachem. „Lilian! co ci jest, droga! co ci jest, droga! wołałem: to ja przy tobie!“ Tak mówiąc, do nóg się jej pochyliłem i okrywałem je pocałunkami: „Lilian! — mówiłem dalej — moja jedyna, moja wybrana, moja żono!“ Gdym wymówił to ostatnie słowo, dreszcz przebiegł ją od stóp do głowy, i nagle ręce, jakby w gorączce z jakąś niezwykłą siłą zarzuciła mi na szyję — powtarzając: „My dear! my dear! my husband! — a potem wszystko znikło mi z oczu, i zdawało mi się, że cała kula ziemska leci gdzieś z nami...

Dziś już nie wiem, jak to być mogło, że gdym się zbudził z tego upojenia i oprzytomniał, między czarnemi gałęziami hikorów świeciła znowu zorza, ale już wieczorna. Dzięcioły przestały bić w korę; na dnie jeziora druga zorza śmiała się do tej, co na niebie; mieszkańcy jeziorka poszli spać, wieczór był śliczny, cichy, przesycony czerwonem światłem — czas było wracać do taboru. Gdy wyszliśmy z pod wierzb płaczących, spojrzałem na Lilian: nie było na jej twarzy ani smutku, ani niepokoju, w oczach tylko wzniesionych ku niebu, paliła się cicha rezygnacja, a jej błogosławioną głowę otaczała jakby jaka glorja świetlista ofiary i powagi. Gdym jej podał rękę, głowę spokojnie schyliła na moje ramię i nie odwracając oczu od nieba rzekła do mnie: „Ralfie! powtórz mi, że jestem żoną twoją i powtarzaj mi to często.“ Więc, że nie było ani w pustyniach, ani tam dokąd dążyliśmy, żadnych innych ślubów, prócz ślubów serc — więc klęknąłem w tym lesie, a gdy ona uklękła przy mnie, rzekłem: „Wobec nieba, ziemi i Boga! oświadczam ci Lilian Morris, że cię biorę jako małżonkę — amen!“ Na to ona odrzekła: „Teraz ja twoja na zawsze i do śmierci, twoja żona, Ralfie!“ — Od tej chwili byliśmy zaślubieni, odtąd to nie była moja kochanka, ale prawowita żona. I dobrze nam było obojgu z tą myślą — i dobrze mnie, bo w sercu zbudziło się nowe uczucie jakiejś czci świętej dla Lilian i dla siebie samego, jakiejś zacności i powagi wielkiej, przez którą miłość wyszlachetniała i stała się błogosławioną. Ręka w rękę, z podniesionemi głowami i śmiałem okiem wróciliśmy do taboru, gdzie ludzie niepokoili się już bardzo o nas. Kilkunastu z nich rozjechało się na wszystkie strony szukać nas, i ze zdziwieniem dowiedziałem się później, że kilku przechodziło koło jeziorka, ale nie mogli nas dostrzedz, — my zaś nie słyszeliśmy ich nawoływań. By jednak nie sądzono krzywo, wezwałem wszystkich, a gdy stanęli w koło, wziąwszy Lilian za rękę weszedłem z powagą w środek i rzekłem: „Gentlemanowie! bądźcie świadkami, że wobec was nazywam tę kobietę, która przy mnie stoi, żoną moją i tak też świadczcie przed sądem, przed prawem i przed każdym, ktoby o to czy na Wschodzie czy na Zachodzie was pytał!“ — „All right! and hurra for you both!“ odpowiedzieli górnicy; potem stary Smith spytał wedle obyczaju Lilian, czy się zgadza wziąć mnie za męża, a gdy odrzekła: „tak!“ byliśmy już i wobec ludzi prawnie poślubieni. Na dalekich stepach Zachodu i na wszystkich okrainach, gdzie nie ma miast, sędziów i kościołów, nigdy zaślubiny nie odbywają się inaczej, a dotychczas w całych Stanach, kto nazwie kobietę, z którą mieszka pod jednym dachem, żoną, takowe oświadczenie staje za wszystkie sądowe dokumenty. Nikt więc z moich ludzi nie zdziwił się ani też patrzył na nasze zaślubiny inaczej, jak z powagą zwyczajowi odpowiednią, a natomiast uradowali się wszyscy, bo, chociażem ich tam trochę karniej trzymał niż inni przywódcy, przecie wiedzieli, że to czynię szczerze, i z każdym dniem więcej okazywali mi życzliwości, a jużto żona moja była zawsze okiem w głowie całej karawany. Wnet też zaczęła się uroczystość i zabawa. Rozniecono ogniska; Szkoci wydobyli z wozów swoje kobzy, których głos lubiliśmy oboje, bo był dla nas miłem wspomnieniem; Amerykanie swoje ulubione klekotki z żeber, i wśród pieśni, okrzyków i strzelaniny upłynął nam wieczór weselny. Ciotka Attkins brała co chwila Lilian w objęcia, to śmiejąc się, to płacząc, to zapalając bez końca fajkę, która jej gasła ustawicznie. Ale najbardziej wzruszył mnie następny obrządek, będący we zwyczaju w tej ruchliwej części ludności Stanów, która większą część życia spędza na wozach: oto, gdy księżyc zeszedł, mężczyźni pozatykali na stemple przy karabinach pęki zapalonej łoziny i cała procesja, pod wodzą starego Smitha, poczęła nas oprowadzać od wozu do wozu, pytając przy każdym Lilian: „Is this your home?“ — (Czy to twój dom?) Moje śliczne kochanie odpowiadało: „No!“ i szliśmy dalej. Przy wozie ciotki Attkins, prawdziwe rozczulenie opanowało wszystkich, bo w nim jechała Lilian dotąd; — gdy więc i tu odrzekła cicho: „No!“ ciotka Attkins ryknęła jako bawół i, porwawszy Lilian w objęcia poczęła powtarzać: my little! my sweet! (moje maleństwo! moje słodkie!) łkając przytem i zanosząc się od płaczu. Łkała i Lilian, a wtedy wszystkie te hartowne serca rozhartowały się na chwilę, i nie było oczu, któreby nie nabrzękły łzami. Gdyśmy zbliżyli się do mego wozu, ledwom go poznał, tak był ustrojony zielenią i kwiatami. Tu mężczyźni podnieśli wysoko płonące pęki, a Smith spytał głośniej i poważniej: „Is this yor home? — „That's it! That's it!“ — odpowiedziała Lilian. Naówczas wszyscy poodkrywali głowy, i cisza zrobiła się taka, że sły-

szałem huczenie ognia i szelest rozpalonych prętów spadających na ziemię, a stary białowłosy górnik, wyciągnąwszy nad nami swe żylaste ręce, rzekł: „Niech was Bóg błogosławi oboje i wasz dom — amen!“ Trzykrotne: hurra! odpowiedziało na to błogosławieństwo, poczem rozeszli się wszyscy, zostawiając mnie z moją ukochaną sam na sam.

Gdy ostatni człowiek oddalił się, ona głowę oparła na mojej piersi, szepcąc: „na zawsze! na zawsze!“ i w tej chwili, w duszach więcej mieliśmy gwiazd, niż ich było na niebie.

(C. d. n.)

POCHODZENIE
Wołochów czyli Rumunów,

przez

ALEKSANDRA MORGENBESSERA.

(*Dokończenie*).

V.

W końcu stanowi skład języka rumuńskiego niezbity dowód, że powstał nie w starej Dacji, lecz na południu Dunaju.

Język wołoski czyli rumuński, nie jest językiem czystym łacińskim, ale mięszaniną łacińskiego z innemi językami. Ta mięszanina pochodzi z zetknięcia i zlania się Rumunów z narodami, które nad nimi panowali, lub z któremi wspólnych terrytorjach mieszkali. Gdyby Rumuni zajmowali ciągle te same obszary, na których osadnicy rzymscy mieszkali, to jest w Dacji, to przymieszki owe do języka łacińskiego w mowie wołoskiej się znajdujące musiałyby pochodzić od tych narodów, które po czasach Aureljana w Dacji zamieszkiwały. Były to narody germańskie, słowiańskie i tureckie (Pieczyngi i Kumani). Pytamy więc, czy w języku rumuńskim znajdują się przymieszki germańskie, słowiańskie lub tureckie?

Co się tyczy germańskiego języka, to z tego w mowie Rumunów nie znajduje się nic, kilka niemieckich wyrażeń, które w słownikach rumuńskich napotkać można, pochodzą z nowszych czasów, to jest od Sasów siedmiogrodzkich, z którymi obecnie sąsiadują.

Natomiast z języka słowiańskiego znajduje się w rumuńskim obfita mnogość wyrażeń.

Ależ języki słowiańskie nietylko były i są rozpowszechnione w ziemiach na północ Dunaju, ale nawet w krajach na południe Dunaju. Są to ludy jednego szczepu, ale różnych narodowości.

Gdyby więc przymieszki słowiańskie w mowie rumuńskiej się znajdujące pochodziły z mowy narodu słowiańskiego na północy Dunaju mieszkającego, to możnaby twierdzić, że język rumuński wyrobił się w ziemiach na północ Dunaju leżących, w starej Dacji, że przeto Rumuni rzeczywiście tam bez przerwy mieszkali. Tymczasem tak nie jest. W dawnej Dacji bowiem mieszkali ze słowiańskich narodów tylko Autowie czyli Rusini; przymieszki więc słowiańskie w mowie rumuńskiej znajdujące się, gdyby były weszły do mowy łacińskiej na północy Dunaju, musiałyby okazywać ślady języka ruskiego. Ale właśnie te przymieszki nie pochodzą z języka ruskiego, ale z języka staro-bułgarskiego (cerkiewnego). Dość tu nadmienić samogłoski nosowe ą ę, przedimki raz, iż, których w ruskim języku nie ma, są zaś w cerkiewnym, który istniał w Bułgarji, Macedonji, w ogóle na południu Dunaju. Tak samo się ma i z przymieszkami tureckiemi. Z narodów tureckich mieszkali na północy Dunaju Pieczyngi i Kumani, na południu Dunaju zaś Osmanowie czyli właściwi Turcy. Gdyby w mowie rumuńskiej mieściły się przymieszki z języków Pieczyngów i Kumanów, to mówiłoby to na korzyść teorji ciągłego bytowania Rumunów w starej Dacji. Ale przymieszków z mowy Pieczyngów i Kumanów w języku rumuńskim nie ma, zaś znajdujące się tureckie wyrazy należą do mowy Osmanów i pochodzą z czasów nowszych, odkąd się poczęło panowanie tych ostatnich nad Wołochami.

Widać ztąd, że język wołoski nie powstał w starej Dacji, że więc i naród wołoski nie bierze z Dacji początku, że przeto nieprawdą jest, aby ten naród pochodził w prostej linji od osadników rzymskich przez cesarza Trajana w Dacji osiedlonych i tam od II. wieku po Chrystusie ciągle i nieprzerwalnie przemieszkiwał.

VI.

Co to jest więc za naród, ten naród wołoski czyli rumuński? Kiedy i gdzie powstał? Kiedy przybył w te strony, w których się dziś znajduje?

Nazwę Wołochów różni, różnie wywodzą. My się trzymamy wywodu Lelewela, bo takowy świadectwami historycznemi jest poparty. W dziele swojem: „Narody na ziemiach słowiańskich“ str. 604-605 Lelewel tak pisze: „Na południu Dunaju, Bulgarja i Serbja okazują się ludniejsze, Grecja niemniej dość zaludnioną była, a przecież wiele okolic mianowicie górzystych stało otworem dla przychodniów, ludu mianowicie bułgarskiego i słowiańskiego co swe trzody przeganiał. Ten ruchawy a niestateczny lud w Dalmacji zwano Wołochami i powszechnie zwany był: Wołochy, Vlachy, Blachy, to jest włóczący się. Wołoch a ztąd Vlach, Blach, Ulach, Vla, Ula, jest wyrazem pospolitej mowy, który oznacza z miejsca na miejsce przeciągającego się Wołocha, z czego w mowie polskiej wołokita, włóczęga, wałkuń“. Udowadnia Lelewel to swoje twierdzenie świadectwami historyków: Anny Komneny (1148 r.), Zonaresa (1118 r.) Benjamina z Tudeli (1178 r.).

I tak: utrzymuje Anna Komnena: „Pastoritiae duritati vitae laboribus, agrestes juvenes, incertis sedibus vagi, quos *communis dialectus* vlachos vocare consuevit.“ A dalej mówiąc, że z tej ludności brano ochotników do wojska, tak kończy: „usmpe ex Bulgaris, qui vitam nomadicam ducunt, Vlachos communis dialectus hos vocare consuevit.“

Otóż ztąd pokazuje się, że ludność ta pochodzi z Bułgarji, a mianowicie z Mezji, że trudniła się pasterstwem, że nie miała stałych siedzib, lecz z miejsca na miejsce się wałęsała (vagi, qui vitam nomadicam ducunt) i że właśnie dlatego w mowie pospolitej, to jest ludowej, (communis dialectus), włachami, wałachami nazwana była. A ponieważ mową ludową podówczas w Bulgarji i innych północnych krajach cesarstwa Byzantyńskiego była mowa słowiańska, przeto nazwa Wołochów (wołoków) w mowie słowiańskiej ma swe źródło i oznacza lud włóczący się z miejsca na miejsce pasterzów.

Obok tego wywodu, nie śmiemy stawiać innego, a przecie i od „wołów“ nazwa ta pochodzić może, wszak pasterzów hodowaniem wołów się trudniących, można było nazwać wolarzami, wołakami, wołachami, wałachami, która to okoliczność i w tem niejakie ma poparcie, że Wołosi przyjąwszy za herb kraju „głowę wołu“, sami tem istnienie podobnych tradycji uprawdopodobnili.

Lecz wolimy zostać przy wywodzie Lelewela, bo świadectwem historyków popartym.

VII.

Ludność ta składa się z odłamków narodów — Mezję niegdyś zamieszkujących. Po składzie mowy rumuńskiej dochodzimy do przekonania, że Słowianie, dalej szczątki kolonistów rzymskich z Dacji do Mezji przeniesionych, tudzież dawni Trakowie, Grecy wpłynęli do utworzenia narodu wołoskiego. Przemaga u nich język łaciński, nie jakoby ci, co nim mówili koniecznie byli Rzymianami, ale, że był w Mezji urzędowym, panującym, a przeto łatwo ludy tam mieszkające przełaciniał, lub przynajmniej nadłaciniał. Zresztą lud koczujący, pasterski nie przywiązuje się do rodzinnego języka, ale przyswaja sobie łatwo języki ludności, śród której bytuje. Tak więc owa zbieranina różnych szczepów przepędzająca trzody po krajach łacińską kulturą owianych, łatwo sobie przyswoiła wiele z mowy łacińskiej, czyli sama zlaciniała.

Ci z Rumunów czyli Wołochów co wytworzyli swój język w południowej części Mezji, w Tracji, Macedonji, mają język więcej zgreczony (graeco latini) zwą się Kuco-Wałachy, Cyncary także Macedo-Wałachy.

Ci zaś co w północnych częściach Mezji powstali, u których przeważa łacina ze znaczną przymieszką starosłowiańskiej mowy, znani są pod nazwą Dako-Romani.

VIII.

Podług Röslera pierwszy Georg Cedrenus pod r. 968 wspomina Wołochów. W r. 1027 służyli Wołochy we wojsku greckiem w wyprawie do Sycylji, w r. 1091 w wyprawie przeciw Kumanom. W 12. stóleciu już się tak wzmogli, że dwaj mężowie z ich narodu: Piotr i Asan podnieśli w Bułgarji bunt przeciw Grekom i utworzyli nowo-bułgarskie państwo czyli wołosko-bulgarskie, które trwało aż do r. 1394, w którym to roku przez Osmanów wywrócone zostało. Podczas 200 lat trwania tego państwa, musiało prowadzić bezustanne wojny z cesarstwem bizantyńskiem, które nie godząc się na dobrowolną utratę tak szerokich krajów napowrót do posłuszeństwa przywieść je usiłowało.

Wołocho-Bułgary często ponosili klęski, i ustępowali za Dunaj do kraju Kumanów, z którymi łączyła ich wspólna nienawiść do imperjum bizantyńskiego. Jedni tu zostawali, drudzy wracali z posiłkami Kumanów do nowych walk z Grekami. Zawiązane obopólne stosunki z tymi północnymi sąsiadami ułatwiały przesiedlanie się częściowe ludności wołoskiej za Dunaj, które z czasami tak częste się stały, że już w pierwszej połowie 13. wieku widzimy ich osady w południowym Siedmiogrodzie, zkąd przy zwiększającej się ciągle ich ludności posuwały się na północ.

Ułatwiało to rozsiadywanie się Wołochów na północ Dunaju pogromienie Kumanów przez Mongołów, które właśnie podówczas się wydarzyło i nowe stosunki w starej Dacji wytworzyło.

W roku 1284 znajdujemy Wołochów już w Marmaroszu, gdzie wnet ich liczba przez coraz nowych przybyszów tak dalece wzrosła, że na północnem nawet podgórzu Karpat kolonje swe rozsiali.

Już to nie sami pasterze byli ci nowi osa-

*

dnicy Dacji ale po większej części wojownicy, którzy porzuciwszy boje na południu Dunaju toczone, przynieśli tu swoją broń i męstwo.

To też z siedmiogrodzkiej ziemi i z Marmarosza pochodzą owe nowe organizmy polityczne, które się w 13 i 14 wieku na ziemiach dawnej Dacji potworzyły.

Ztąd podług legend rumuńskich wyruszył około roku 1290 Radul Negru, przez góry siedmiogrodzkie z zbrojną drużyną w równiny Aluty i położył kamień węgielny województwa multańskiego (Vallachia transalpina - Ungro - Vallachia), które założone na ziemi w sferę podbojów madiarskiej wchodzącej, Węgrom hołdowało.

Z Marmaroszu wyruszył Bogdan czyli Dragosz między 1350 i 1360 rokiem z zbrojną drużyną przez Karpaty w dolinę rzeki Mołdawy, i dał początek województwu wołoskiemu zwanemu *Mołdawią*, które ponieważ zostało założone na gruntach księstwu halickiemu prawnie należących, stało się hołdownicze Polsce jako spadkobierczyni książąt halickich. Dalsze losy tego narodu nie należą do obecnej rozprawy.

Szczególnie losy Wołochów Mołdawskich schodzą się tu z dziejami Polski, a początki tych dziejów nie są jeszcze wyjaśnione, zwłaszcza, że pierwsza wzmianka o Wołochach, ktorą u Długosza pod r. 1359 znajdujemy tyczy się faktu, który albo nigdy, albo przynajmniej nie w tym czasie i nie pod temi okolicznościami się wydarzył, jak to na innem miejscu wykazałem.

Aleksander Morgenbesser.

SZKICE PEDAGOGICZNE

Dra Juljana Ochorowicza.

I.

Bojaźliwość dzieci.

Bojaźliwość jako wada charakteru tak znaczny wpływ wywiera na ogół władz umysłowych, że jakkolwiek w wyższym stopniu rzadko u dzieci się przytrafia, zasługuje jednak na pilną i wczesną uwagę wychowawców, nawet tam gdzie tylko zaczątki jej znajdujemy. W typowej swej formie jest ona ułomnością *woli* w przeciwstawienia do zalety, którą nazywamy *odwagą*, i wtedy możemy ją nazwać *bojaźnią pewnych czynów*. Jako zaś bojaźń pewnych czynów staje się tem samem szczególnym przypadkiem ogólnego przytępienia *czynnej* siły woli, zwanego pospolicie lenistwem. Lecz może ona także występować w innej formie, a mianowicie jako wada *biernych* władz organizmu. Wtedy staje się *bojaźnią pewnych wrażeń* i występuje jako szczególny przypadek ogólnego podniecenia wrażliwości, które nazywamy hiperstezją, albo przeczuleniem nerwów. Oba zaś te wypadki, tj. osłabienie sił czynnych i podniesienie sił biernych zwykle tak ściśle łączą się ze sobą, że w obec celów praktycznej pedagogiki zbytecznem byłoby rozbierać je oddzielnie; poprzestanę więc tylko na uwzględnieniu tych różnic, w których jedna z form zdaje się przeważać nad drugą.

Łatwo zrozumieć, że bojaźliwość w małym nawet stopniu rozwinięta, zawsze więcej szkody niż pożytku dla rozwoju przynieść może. Dziecko bojaźliwe pozwala wprawdzie łatwiej zaszczepić w swym charakterze pewne przymioty bierne, takie jak skromność, zamiłowanie spokoju, małomówność i posłuszeństwo, ale źleby było, gdyby powyższe przymioty na tej podstawie tylko opierać się miały. Skromność albo posłuszeństwo z bojaźni jedynie, zawsze będą objawem sztucznym, niekiedy chorobliwym nawet, a tymczasem zadaniem rozumnej pedagogji jest dbać nietylko o samo zaszczepienie cech dodatnich, ale także, i to przedewszystkiem, o zapewnienie dla nich trwałej i *naturalnej* w organizmie duchowym podstawy. Za taką zaś w żadnym razie nie może być uważana bojaźliwość. Mówię: bojaźliwość, nie zaś: bojaźń, ażeby nie dopuścić wątpliwości co do usprawiedliwienia i pożytku pewnych, ale tylko pewnych form bojaźni.

Złem by niewątpliwie było dziecko, któreby się *nie bało* rodziców, ale bojaźń jako środek pedagogiczny nie powinna nigdy wypływać z *bojaźliwości.*

Dziecko powinno się bać rodziców przedewszystkiem, przez poczucie przykrości, jaką im sprawia złem prowadzeniem się, przez poczucie wstydu, jakiego dozna spojrzawszy im w oczy, przez obawę nagany, której się od nich spodziewa — ale nie przez sam fakt fizycznego strachu. Tylko tam gdzie pedagog nie mógł od pierwszej chwili urabiać naturalnego materjału uczuć, gdzie dostaje zwichnięty i znarowiony organizm do prowadzenia i naprawy, tam nauka usprawiedliwić go może z użycia gwałtownych środków wprost i fizycznie tylko na nerwy działających. Ale stałe i systematyczne przerażanie dziecka swą władzą jest nietylko nieludzkiem i przeciwnem naturze, lecz nawet w następstwach swych wykazuje skutki wprost przeciwne, niż te, które chciano wywołać; a mianowicie przytępiające ogólnie nerwy, (jeśli nie rozdraźnia ich chorobliwie) doprowadza do fałszu, do skrytości, do zemsty, do zbydlęcenia. W ten sposób powstają tak zwane zahukane organizacje. Wszelka samodzielność w nich ginie, a jeśli była zbyt silną z natury, zmienia kierunek, nurtuje skrycie, szuka dróg błędnych i obłudnych. Nic przecież pospolitszego nad widok nauczyciela, korepetytora, ojca nawet, który przy uczeniu dziecka wszelkich środków używa, ażeby strachem pojętność jego wzmocnić! A więc krzyczy coraz głośniej, bije w stół pięścią, grozi linią, oczami ciska pioruny, bije wreszcie i w ogóle zachowuje się tak, że nieraz przychodzi ochota zapytać się, kto tu właściwie zasługuje na dyscyplinę, czy ten co mając rozum nie umie go użyć na zaciekawienie dziecka i rozbudzenie jego myśli jasnym wykładem, czy też dziecko, które z natury prawdopodobnie słabo uposażone, a w dodatku zmęczone niedołężną, gołosłowną metodą, do reszty traci przytomność w obec krzyków i wrzasków profesora? Takie podtrzymywanie bojaźliwości prowadzi oczywiście do zabicia wszelkich skłonności samodzielnych, czy to one objawiają się na zewnątrz jako zdolność nietrafnego może, ale zawsze własnego formułowania myśli, czy też ograniczają się na owem wewnętrznem czuwaniu uwagi i pamięci dziecka, które nazywamy *przytomnością umysłu.*

Za tem zaś idzie wiele innych wad i przywar. Dziecko bojaźliwe nie będzie miało odwagi do odrabiania ćwiczeń bez niczyjej pomocy, podobnie jak lęka się przejść przez kładkę bez podanej mu ręki; nie będzie miało odwagi do objawienia szlachetnego uczucia, jeśli go do tego nakaz nie upoważni, jednem słowem w najrozmaitszych sferach jego duchowego rozwoju może się odbić tu kardynalna wada nerwów i woli, która później ustaliwszy się jako cecha charakteru, wyradza owe niedołężne automaty popychane w prawo i w lewo przez zmienne okoliczności życia, owe tłumy gładkich i uśmiechniętych figurantów, lękających się prawdę w oczy mówić, i przeczulonych kobiet, którym wszystko szkodzi, które lada szmer przestrasza, lada wysilenie osłabia, i które królując w salonie, dopóki wady swej organizacji mogą sprzedawać za pozór „wdzięku niewieściego", stają się smutną ofiarą nieporadności, w chwili gdy je dotknie twarda ręka losu.

Nie godzi się więc, w obec tych nieuniknionych następstw, podtrzymywanej za młodu bojaźliwości, lekceważyć sobie jej znaczenia. Musimy tylko odróżnić jej stopnie, ponieważ od nich zależy i bardzo odmienne znaczenie jej dla rozwoju duchowego i rodzaj środków pedagogicznych do jej traktowania stosownych.

Najniższym stopniem bojaźliwości jest nieśmiałość, najwyższym tchórzostwo. Nieśmiałość, o ile dotyczy kilkoletnich dzieci nie jest nawet wadą. Że chłopiec, a tembardziej dziewczynka do 10 roku życia okazują nieśmiałość w obec obcych, starszych zwłaszcza, że nie popisują się zuchwale z deklamacją lub grą na fortepianie, że się rumienią, gdy ktoś wda się z niemi w rozmowę, to im raczej za zaletę niż za wadę poczytać należy. Owszem źle wróży chłopiec, a tembardziej dziewczynka, która sobie nic z gości nie robi, przed każdym się popisuje a nawet szuka zaczepki. Na tym więc stopniu, bojaźliwość, o ile dotyczy małych dzieci, bynajmniej nie powinna być tępioną, lecz tylko miarkowaną stosownemi uwagami. W żadnym zaś razie nie może zasługiwać na naganę nieśmiałość dzieci w obec osób pierwszy raz widzianych.

Inna rzecz, gdy chodzi o wyższe stopnie bojaźliwości, te mianowicie, które ją zbliżają do tchórzostwa. Tych już żadną miarą za korzystne uważać nie możemy, stają się bowiem przy odpowiednich okolicznościach przyczyną najgorszych wad charakteru, niedołęstwa, służalstwa i podłości. Ażeby jednak znaleść przeciw nim odpowiednie środki, potrzeba przedewszystkiem zbadać przyczynę i sposób rozwoju, ktore jak zobaczymy mogą byc bardzo różne i całkiem odmiennych wymagają środków.

Bojaźliwość może mieć trzy główne przyczyny: 1) wrodzony nastrój nerwowy; 2) wypadki własnego doświadczenia i 3) złe wychowanie w pierwszych latach dzieciństwa.

1) Nadmierna pobudliwość systemu nerwowego jest prawie zawsze dziedziczną; szczególnie też matki nerwowe przekazują swym dzieciom różne wyższe stopnie wrażliwości, które dla bojaźni są tem, czem grunt dla rośliny. Wprawdzie niekiedy, a mianowicie przy podniosłym rozwoju wszystkich władz umysłowych, nadmierna wrażliwość daje im charakter poetycznych uniesień i może nawet sprzyjać objawowi entuzjazmu i chwilowego męztwa; ale tego rodzaju wypadki, jako u wyjątkowych tylko jednostek, uznania, a przynajmniej usprawiedliwienia godne, nie mogą być brane w rachubę w ogólnej zasadzie wychowania. To ostatnie owszem musi dążyć zawsze do miarkowania nadmiernej pobudliwości, o ile to jest w różnych jej stopniach możliwem.

Łatwo zrozumieć, że z tej strony uważana, kwestja bojaźliwości staje się raczej zadaniem hygieny niż pedagogiki. A więc hartowanie ogólne ciała, zimne kąpiele, gimnastyka, muszą tu być przedewszystkiem użyte. Niekiedy nawet bojaźliwość jest wprost wynikiem wady serca lub złego odżywiania i wtedy oczywiście lekarz winien mieć pierwsze prawo głosu.

Bojaźń zmian atmosferycznych, burzy, pioruna, bojaźń w obec przepaści i. t. p. bywa także skutkiem wrodzonej konstytucji nerwowej i należy do

tej samej kategorji co wrodzone lub okresami trwające wstręty do pewnych pokarmów.

W takich wypadkach należy być bardzo wyrozumiałym i nie gwałcić natury, lecz tylko wzmacniać ją przez umiarkowane poddawanie zmiennym wrażeniom. Często jednak dzieje się przeciwnie, a mianowicie opiekunowie nie rozumiejący i niemogący odczuć tych obaw i wstrętów, traktują je jako proste kaprysy i przyczyniają się tem samem do większego rozdrażnienia dziecka. Albo też przeciwnie sami pełni przesądów, sami drżący i żegnający się, utrwalają w dziecku bojaźliwość, przez wpływ fantazji i naśladownictwa.

2) Dziedziczne cechy systemu nerwowego nie są jednak wyłączną przyczyną bojaźni. Przedewszystkiem musimy zauważyć, że nawet tam gdzie bojaźliwość jest dziedziczną, nie objawia się jednak od razu w pierwszych chwilach życia. Ostatnie badania wykazały, że młode zwierzęta nie są zdolne do katapleksji (niemoc z przestrachu), dopóki nie zaznają przeciwności własnem doświadczeniem, podobnież i niemowlę długi czas pozostaje martwem na wrażenia przestrachu, gdyż w ogóle wrażenia na miękkiej i nie wyrobionej jeszcze jego tkance nerwowej słabe pozostawiają ślady. Przesądem też jest ochranianie nowonarodzonych od światła albo śpiących niemowląt od hałasu rozmowy, ponieważ im te wrażenia wcale szkodzić nie mogą. Przeciwnie zbyteczna przed niemi ochrona, sprowadza później silniejsze działanie odruchowe, a więc i objawy bojaźni.

Dziecko przychodzi na świat jako organizm bezbronny wprawdzie, ale niezmiernie podatny na wszelkie warunki z mniejszą niż kiedykolwiek stratą, mogący się do najrozmaitszych stosować. Z tego więc właśnie korzystać należy w ten sposób, ażeby już pierwsze przyjęcie, jakiego doznaje, nie było zbyt zniewieściałem, ażeby nie chuchano zbytecznie i nie krępowano powijakami, kiedy natura właśnie szybciej niż kiedykolwiek rozwija się potrzebując swobody ruchów i wrażeń. Nie myślę tu bynajmniej ograniczać owej troskliwości rodzicielskiej a zwłaszcza macierzyńskiej, która radaby ukochane dziecię od wszelkiego niebezpieczeństwa uchronić, żądam tylko rozsądnego odróżnienia niebezpieczeństw rzeczywistych od nieszkodliwych prób życiowych, bez których zdrowy i silny rozwój stałby się niemożliwym.

Chwilowo może się wprawdzie wydawać, że takie wystawienie dziecka na próby, powiększą w niem bojaźliwość, gdyż dziecię dopiero wtedy zaczyna się lękać ognia, gdy się sparzy, dopiero wtedy zaczyna się obawiać włazić na krzesło, gdy raz spadnie, drażnić kota gdy je raz podrapie, ale takie małe doświadczenia i boleści są dla dziecka niezmiernie korzystne i stopniowo, jeżeli z jednej strony ograniczają nieoględną zuchwałość i lekkomyślność lepiej niż wszelkie przestrogi, to z drugiej strony, powtarzając się od czasu do czasu, hartują w obec silniejszych wrażeń, które stają się mniej silnemi, a temsamem mniej do wywołania bojaźni zdolnemi. Dziecko zaczyna się bać dopiero wtedy, gdy naprawdę doświadczyło niebezpieczeństwa, ale też jednocześnie choć stopniowo pozbywa się nadmiernej bojaźliwości, która bez tych prób przebytych i wytrzymanych później w wyższym jeszcze stopniu zjawićby się musiała.

Jeśli jednak przez brak nadzoru dziecko wystawione zostało na istotne niebezpieczeństwo, jeśli spadło z kładki do wody, lub zostało przez psy opadnięte i pokąsane, wówczas takie nagłe wstrząśnienie, takie zbyt dla jego natury ciężkie doświadczenia mogą się stać źródłem długoletniej, chorobliwej bojaźliwości. Dziecko raz gwałtownie przestraszone np. nagłym widokiem jakiejś wstrętnej maski, może na długie lata zachować skłonność do drżenia, bicia serca i innych objawów bojaźni. To też tego rodzaju żarty często, zwłaszcza przez chłopców w obec młodszego rodzeństwa praktykowane, winny być najsurowiej zakazane. Niestety jednak, nawet ci wychowawcy, którzy po skutkach widząc złe, zakazują straszenia dzieci, sami jednak w mniejszym stopniu ten sam błąd popełniają.

3) Ileż to razy zdarza się, że nietylko piastunkom pozwalają straszyć dzieci kominiarzem, wilkiem, dziadem i tp., ale sami używają tego środka nie mogąc dać sobie rady z rozkapryszonem dzieckiem. Zamiast uspokoić łagodnością, zwróceniem uwagi na przedmiot zajmujący, albo wreszcie uderzeniem bez złości, gdy inne środki nie pomagają, używa się często gróźb, krzyków i strachów nierozsądnych, które gniew tłumaczy, ale których nic z stanowiska pedagogicznego nie usprawiedliwia. Zapewne, że niekiedy można uspokoić dziecko naiwne i wierzące jeszcze, zapewnieniem, że przyjdzie smok, aby je zjeść, albo djabeł, który je wezmie do piekła, tak samo jak można uspić dziecko rozkołatawszy mu mózg gwałtownem kołysaniem — ale trzebaż pamiętać o dalszych takiego postępowania następstwach! Bojaźń strachów w ten właśnie sposób powstaje. Jeszcze tylko do owych faktycznych przestraszeń niech się przyłączy rozbujanie fantazji dziecka, bajkami o upiorach, czarownicach i rozbójnikach, o potworach i djabłach, ażeby ustalić w niem taką bojaźliwość, która mu nie pozwoli przejść przez pokój ciemny, zostać samemu przez chwilę, a nawet zajrzeć do szafy. Nie podzielam wprawdzie zdania tych, którzy chcą dziecko kształcić wyłącznie na suchej przyrodniczej logice faktów, rozwijać tylko rozum a bezwzględnie tępić fantazję, wiemy bowiem, że nie ma bez fantazji samodzielności, twórczości i podniosłości umysłu w jakimbądź kierunku, ale nie na takich potwornych wzorach zdrowa fantazja wykształcić się może! Wszelkie bajki o strachach, morderstwach szczegółowo opisywanych, wszelkie opowiadania o ludożerstwie, o torturach męczenników i tp. powinne być bezwarunkowo aż do wieku młodzieńczego wykluczone. Nie należy też pod żadnym pozorem leczyć bojaźliwości strachem, czyli straszyć umyślnie w przekonaniu, że to z bojaźni wyleczy, i tylko stopniowe zapoznawanie z tajemnicą mniemanych strachów, okazanie iż duszą pokutującą był ręcznik wiszący przy oknie, że maska jest sztucznym wyrobem, że w ciemnym pokoju nie ma nikogo, lub że szmer, czy jęk mniemany pochodził od myszy lub świerszczy — tylko takim mówię łagodnym i rozsądnym sposobem, można dziecko od tchórzostwa odzwyczaić. Streszczając więc nasze uwagi powiemy, że bojaźliwość należy leczyć 1) wzmacnianiem całego ciała, a w szczególności nerwów; 2) powolnem rozszerzaniem dziecinnego doświadczenia; 3) hamowaniem fantazji; i 4) rozjaśnianiem rozumowem przyczyn pozornie nadnaturalnych wydarzeń.

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Jeszcze w kwietniu 1832 r. Maurycy *Mochnacki* pisał: „Słowem Ludwik Filip *et le Gouvernement d'Epiciers* są uniżonymi sługami cara, który szpony swoje jak djabeł z Petersburga aż tu rozciągnął, ażeby nas ztąd porwać i na stepach lodu osadzić. Co się z nami dalej będzie działo, tego nie wiem; to pewna jednak, że kiedy cholera przeminie, nie obejdzie się bez scen, bez podburzeń w imieniu krzywdy, którą rząd dla dogodzenia carowi emigracji naszej wyrządził.“ A zdanie to podzielali wszyscy wówczas.

Nie było po co obawiać się wydania w ręce Moskali, ale gnębienie wychodźtwa przez rząd musiało wzrastać koniecznie. Sprawcy zaś przeprowadzenia alien bilu z 21 kwietnia mogli śmiało rozliczać na rozpędzenie wybitniejszych jednostek w razie targnięcia się przez nie na moskiewskie wpływy.

Jednakże komitet narodowy nie powstrzymuje się, lecz wydaje odezwy do Moskali.

Pierwsza wydana w kwietniu nie ściągnęła jeszcze złych następstw, bo jeszcze wtedy nie istniało orłowskiewo prawo o cudzoziemcach. Druga zaś, z 12 sierpnia wydana, stała się przyczyną rozpędzenia członków komitetu z Paryża i upadku tej pierwszej polskiej organizacji na wychodźtwie. Rzecz tak się miała.

Mikołaj 28 lutego 1832 wydał ukaz*) polecający nazywać kraje zabrane *odzyskanemi*, znoszący język polski w szkołach i sądownictwie, zaprowadzający *swod zakonów* zamiast litewskiego statutu, mianujący sędziów od korony zamiast wybieralnych. Postawiono marszałków na równi z *predwoditelami* moskiewskiego *dworiaństwa* i t. p. Dołączając to do rozporządzeń o znoszonych kościołach uniackich i katolickich, sekwestracji majątków duchownych, zniesienie prowincjałów,**) będziemy mieli cały obraz popłochu jaki powstał w obec czynności zaboru. Wszystkie stronnictwa poruszyły się tem. A w popłochu ogólnym należało zabrać głos wybranym przedstawicielom, dla tego to mówi kom. narod.: „Jak szeroko sięga imię polskie, jak daleko mówią polskim językiem, wszędzie Polak bez różnicy stanu, *płci* i *wieku* biegł na pole bitwy dopominać się o wydarte swobody. Przyklaskiwały ludy oporowi naszemu: bo raz uznana i *zapewniona niepodległość Polski* stawszy się w tamtych stronach nowym zawiązkiem systematu opartego *na wszechwładztwie ludu posłużyłaby najdzielniej do przyspieszenia epoki ogólnej ludów emancypacji*.“

Później. przebiegłszy wszystkie okropieństwa dokonywane przez zaprowadzanie nowych reform, i zniesienie wojsk polskich, ubolewa komitet, że „nie masz już tego wojska; odtąd młodzież polska z łona familji porwana i w dalekie od ojczyzny zapędzona kraje, służyć będzie na obcej ziemi i w tych samych szeregach, z którymi niedawno krwawe staczała boje; a dzikie hordy wyprowadzone z głębi Syberji od podnóża Kaukazu zalegną Wisły nadbrzeża. Tak wola jednego człowieka wszystko niszczy, mięsza, a zniweczywszy jednym zamachem najdroższe narodowe pamiątki, odłamek wielkiego i wolnego niegdyś ludu w obcy naród gwałtem przetwarza, łączy i w jedną z nim całość przelewa.“ Napadłszy na dążność Mikołaja, który dowodzi monarchom Europy: „że się ich obrazić nie lęka i od dotrzymania względem siebie wszelkich dotąd istniejących traktatów nawzajem uwalnia“ — wykazuje komitet na niebezpieczeństwo wiszące nad Zachodem i ciągnie dalej: *„Odwołujemy się zaraze do pram odwiecznej sprawiedliwości,* z jakiemi naród

*) Polnoje sobranie zakonow Ras. im.

**) tamże N. 1977; 2086 i 5169

polski we wszystkich poruszeniach europejskich, odzywać się nie przestawał, *a z których go ani przemocą narzucone traktaty, ani najdłuższe przedawnienia wyzuć nie mogą.*"

W odezwie tej trochę może za sentymentalnej, jak wiele odezw komitetu, wyraźnie liczono na tkliwość serca, jednak są obrazy czasem prawdziwie wzruszające: Dziś cała Polska pokryta jest jednym kirem żałoby. Mikołaj pastwi się nad tymi których pognębił. Ręka złości jego wyrywa z niezmordowaną zawziętością z głębi familji coraz nowe ofiary, pędzi je w okowach w stepy Syberji, zamyka w lochach podziemnych i w pieczarach kopalni, wydziera z łona matek dzieci i wiek ich nieletni do niewoli zaprawia. Gdzie niedawno rozlegał się okrzyk wolności, gdzie brzmiały narodowe pieśni powstania, grobowe teraz panuje milczenie, którego nic nie przerywa chyba jęki nieszczęśliwych ofiar i brzęk kajdan braci naszych. Na tej ziemi niewoli żaden głos wolny podnieść się nie może. My przeto mniej narażeni na prześladowanie i zemstę, z rozdartem sercem na znieważoną ludzkość poglądając, zanosimy uroczystą protestację przeciwko tym nowym uciemiężeniom, i wzywamy wszystkich ziomków w tułactwie będących, iżby głos swój z naszym złączyli dla odparcia i podania w wieczną ohydę gwałtów tyrana." Jednakże, co najważniejsza w tej odezwie, to wiara w walkę ojczyzny i w konieczne jej odrodzenie, wiara przypominająca, że za kilka miesięcy później członek tego komitetu, *Zaliwski* Józef, zaczynał swą wyprawę. „Jak dawna niewola tak świeżo narzucone kajdany nie stłumiły w nim (narodzie pols.) tej żądzy niepodległości, jaka od ostatniej epoki ujarzmienia ożywiać go nie przestawała. *Tak jest, naród polski,* lubo w tej chwili pognębiony, *podźwignie się znowu i stanie w dumnej postawie jaka przystoi narodowi znającemu swą godność i swoje prawa nie ulegające żadnemu przedawnieniu.*" Lecz zadarłszy się raz z Mikołajem publicznym aktem, powtórzonym przez liczne dzienniki — trzeba było pójść dalej.

Tkwiło w pamięci każdemu zmarnowanie dobrych chęci Moskali dekabrystów i zgłaszanie się ich do towarzystwa patrjotycznego o wspólną pracę. Na gruzach walk narodu komitet narodowy zrozumiał tę wielką myśl walenia tyranji despotyzmu, nie zwracając uwagi na innych; ale obok tego zeznał, że każdy jest nam sprzymierzeńcem, kto tylko napada na wspólnego nam wroga.

Prawda, że gnębienie rozćwiartowanej Polski nie podobna przypisać jednemu rządowi, bo gdyby naród nie chciał mieć tego rządu dawnoby go zwalił; jednak śród Moskali są waleczniey przeciwko despotyzmowi, i liczba ich musi wzrosnąć, a ci walczą z naszym wrogiem — caratem. Do nich przemawia komitet narodowy z *czułostkowością* właściwą złamanym moralnie: „Bracia Rossjanie! Braćmi was zowiemy, boście braćmi z imienia samego ziomków naszych Rusinów; boście dzieci rodu słowiańskiego. Braćmi jesteście, boście narodem z innymi ludami do wolności wzdychającym." I od razu przypomina dawne wypadki historyczne zbliżające narody: „Nie przypominamy wam tej wolności miast i ludów ruskich, którą polityka osadników zaleskich wielkich kniaziów nad Klaźmą i carów Moskwy zgnębiła, nie przypominamy wam, wielekroć Polacy zamierzali waszych carów na swój tron elekcyjny powołać, aby przez to u nich kwitnącą wolność, w rodzie słowiańskim rozszerzyć; nie przypominamy Sapieżyńskich projektów unji cesarstwa waszego z rzeczpospolitą Polską, aby przez to rychło bratnią zgodą skruszyć despotyzm. Stało się to księgi dziejów wspomnieniem i przeszłości, o której despotyzm historykom Rossji, jak było rzeczywiście, pisać nie dozwala."

Wiadomo, że Aleksander I. przy zamknięciu sejmu 1818 zapowiedział, że „doświadczając w królestwie liberalnych instytucji.... ich zbawienne działanie rozciągniemy do wszystkich ziem, które opatrzność naszej pieczy powierzyła.... Polacy podali nam środki objawienia naszej ojczyźnie, Rossji, to co dla niej od dawna gotuję i co otrzyma, skoro żywioły tak ważnego dzieła dostatecznie rozwinione zostaną." W papierach księcia Konstantego powstanie znalazło projekt tej konstytucji i ogłosiło go, a sejm w czasie powstania listopadowego pisał w odezwie*): „nie powodowała nami żadna nienawiść narodowa przeciwko Rossjanom wielkiemu, jak my, szczepowi słowiańskiego rodu. Słodziliśmy owszem, pierwsze chwile wydartej nam na nowo niepodległości, tą myślą, że połączenie pod jednem berłem, *jakkolwiek dla nas szkodliwe, przyniesie czterdziesto miljonowemu ludowi uczestnictwo swobód konstytucyjnych,* które w całym ucywilizowanym świecie, stały się równie potrzebą panujących jak rządzonych."

Warszawa święciła pamięć dekabrystów, „ofiar okrutnej zemsty, których imiona, pamiętne na zawsze dla Rossjan, równie są drogie sercu Polaka," jak powiada K. Narodowy.

Dlatego to i komitet narodowy przemawia do Moskali: „W miarę tego jak u was despotyzm głowę podniósł i ustalił się: ziemie wasze i nasze zakrwawiły się nieraz zobopólną krwią i myśmy wam ulegli.. *ujarzmienie nasze, my, nie wam, ale przypisujemy chciwej i przewrotnej polityce samodzierzców waszych, którzy i was w jarzmie trzymają.*" A stan ten upodlenia Moskali oto jak odmalowano: „Używa i was samodzierżca wasz, ale nie dla waszego dobra, tylko dla dogodzenia swej dumie, ugruntowania władzy i ukucia więzów narodom. Tym końcem wymyśla wojny, aby *mężów Rosji,* kwiat narodu, *odwrócić od myślenia o prawach człowieka i ludów,* aby ich życzenia zagłuszyć opowiadaniem bitew, aby ich oko zająć widokiem krzyżów i wstążek, aby ich wywieźć na pole boju, gdzieby przed czasem poginęli... a z nimi wznioślejsze myśli, uczucia, upragnienia godne człowieka, i ów dzielny instynkt wolności którego ocknienia despota tak się obawia."

Wspólność niewoli mimowolnie nasuwała na myśl potrzebę wspólnego przymierza. Ztąd też odezwa powiada: „*Między ludami wolności pragnącemi,* stoi przymierze. Jeśli wy o swoją dbacie, jest takie przymierze między wami i nami. Okazywało się to jawnie, gdy przed siedmiu laty zbliżone w tym celu serca polskie z rossyjskiemi rozwijały nad brzegami Newy, *wielką myśl słowiańskich ludów federacji...* Lud polski powstający w 1830 z jarzma niewoli, przekonany był, że to przymierze trwa i w walce swojej tego przekonania nie przestawał jawnych składać dowodów."

W obec walki o wolność narodu jaką głosił komitet narodowy czemże była sława uzyskana gdziekolwiek wśród podbojów przez Moskali? ona była czemś marnem i haniebnem; a każdy postępowy człowiek nie mógł tego nie uznać. Trzeba było przygotować wśród Moskali zniechęcenie do tych marnych błyskotek w przewidywaniu przyszłych walk narodu naszego z moskiewskim. To też komitet narodowy mówi: „Rozlega się dotąd w przyćmionej jaskini jęk i narzekanie; ale się już do niej światło przedziera, które pokazuje przyczyny cierpień, które objaśnia zuchwałość despotyzmu, ludzkości dolegliwe razy zadającego. *Skrępuje go i wywróci dzielna moc ludu. Dospiewa już rozum i niezadługo uderzy na gwałt przeciwko ciemięzcom, zbliża się chwila do spełnienia wielkiego dzieła, do którego nadludzka siła ludy powołała*".

Nie będę powtarzał o mistycznem prawie wygłoszeniu wzniosłego umysłu i umiejętności ocenienia godności człowieka itp. „słowianina, słowianinowi podaniu chętnemu ręki bratniej" itd. Dość, że zakończenie odezwy było takie: „Wśród zaciętej walki, wśród przerażającego huku dział, z trudnością mógł się głos powstającego bratniego narodu przedrzeć do was: teraz, pod kirem żałobnym, *w głuchej ujarzmionego ludu ciszy, głos ten wznoszący się w chwilach swobody i działania,* ponawianym w sercach waszych echem, *da się wam lepiej rozpoznać.* Przypominają go wam *tułacze polskiego narodu,* co uchodząc przed niewolą, po świecie się rozbiegli i *stali się przestrogą dla ludów, braterską zawiścią rozdwojonych.*"

Odezwa ta zwróciła uwagę Moskali. Skoro zawezwano do buntu wiernopoddanych, car nie mógł darować Lelewelowi, ani innym członkom komitetu, chciał się zemścić, dlatego też „dwory które poćwiartowały Polską," żądały niejednokrotnie „aby rząd francuski wszelkie obrady Polaków na ziemi francuskiej odbywane zatamował", a nadto aby rozprószył rady wybrane po zakładach i żeby „*tułactwo, jako reprezentujące nieprzestannie powstanie narodu polskiego*, było rozwiązane i *znikło**)." Do Moskali manifest podpisali wszyscy członkowie komitetu ówczesnego. Jednakże między ogłoszeniem go a zajściem obecnem *Zwierkowski i Zaliwski,* gotów do partyzantki, usunęli się.

Episjerskie rządy króla Filipa z chwiejną i niedołężną polityką płaszczącą się przed Moskalami nie mogły się opierać natarczywości poselstwa moskiewskiego, tem bardziej, że odezwa rozesłana była do zbyt wielu osób w Moskwie i Petersburgu i można było przypuszczać, że jeszcze musiano mnóstwo ich rozesłać tajemnie. Świeże pamiątki dekabrystów jeszcze nie wyniszczone we wszystkich rozgałęzieniach mogłyby ożyć.

Z tych powodów na naradach ministrów francuskich zagadano o komitecie polskim i zaczęto prześladowanie jego członków.

Broglie, minister spraw zagranicznych, nagle zawoluje Lelewela i wskazując na odezwę do Rossjan, zapytuje, czy on zna ją i czy nie zaprzecza podpisu swego i swych towarzyszy.

Dopokąd komitet przemawiał do innych narodów i ludów uciśnionych lub nawet do Francuzów, dotąd ministerstwo nie powoływało jego członków do odpowiedzialności, bo opinja ludu francuskiego była po stronie komitetu, a znaczna liczba posłów z opozycji stała w ich obronie. Komitet często wypowiadał najbardziej rewolucyjno-polityczne doktryny, dzienniki to zamieszczały; jednak nikt nie odpowiadał, nikogo nie sądzono.

Lecz odezwa do Moskali inaczej wpłynęła. W służalczem upodleniu, skreślonych powyżej przez współczesnych, różnych przekonań politycznych, wychodźców naszych nie podobna było mieć nadziei, by nie zwrócono uwagi na nią. *Broglie* zatem wymawiał Lelewelowi, że komitet

*) Manifest 30 grudnia 1830.

*) Sprawozdonnie z czynności K. Nar. Pol. do końca września.

tak bezcześcił Mikołaja i Rossjan do buntu podmawiał przeciwko władzy najprawowitszej, a odezwy czynownikom pocztą posyłał. Wiedział on dobrze, że odezwy całymi pakunkami wysyłano do kraju i dlatego może zamiast objaśnić się o treści odezwy, odesłał sprawę jej do rady ministrów.

Podobnież powołano Leonarda *Chodźkę* do *Thiersa* który miał z nim podobnejże treści rozmowę. Na pozór sprawa przycichła, jednakże po dwóch tygodniach objawiono członkom komitetu, że należy im wybrać natychmiast miejsce pobytu i opuścić co prędzej Paryż. Całe upodlenie ministerstwa wyszło na jaw.

Thiers, ówczesny minister spraw zewnętrzych, zawezwał członków komitetu narodowego 10. grudnia 1832 i kazał wybrać sobie miejsce pobytu opodal od Paryża. Nie łatwo było zrobić wybór. *Lelewel* obrał sobie *La Grange*, własność Lafayeta: *Chodźko* wyjechał do *Tours*, *Hłusznieiwcz* do *Fontainebleau*, *Rykaczewski* do *Arras*. Jeden *Wodziński* pozostał w Paryżu. *Pietkiewicza* wówczas nie było. Zaledwie jednak powrócił z Galicji, gdzie jako emisarjusz przebywał, a wnet go wyprawiono do Tours w 1833. Niedość tego. Rozporządzenie ministerjalne odnośne do członków komitetu opiewało, że oni 1) powinni dać znać gdzie się udadzą, 2) nie mogą się udać do departamentów zachodnich, 3) do wielkich miast, 4) do miast pogranicznych i portowych, 5) w okolicach Wandei, 6) do żadnych zakładów polskich, 7) nie mogą być w promieniu 50 *lieux* od Paryża, 8) ani się we dwóch znajdować w jednem miejscu.

W taki sposób ustał komitet narodowy i spełzło działanie na zewnątrz w imię narodu.

Jednakże odegrał on ważną rolę w wewnętrznem życiu wychodźtwa. Przez czas jego trwania powstały te wszystkie żywioły, co później wzrosły i ugrupowały całe stronnictwa polityczne; przez nastawanie komitetu wyrobiły się zasady, co dały początek towarzystwu demokratycznemu, i zarysowało się stronnictwo monarchiczne, przedtem nieznane. Nareszcie z komitetu wyszła myśl partyzantki Zaliwskiego. (C, d. n.)

„BITWA GRUNWALDZKA" MATEJKI.

Bitwa Grunwaldzka jest piątym z rzędu wielkim obrazem historycznym Matejki Poprzedzają go: Skarga, Upadek Polski, Unja, Stefan Batory. Pierwszy z tych obrazów liryzmem swoim przypomina początkowe kreacje Matejki, (Jan Kochanowski, Wit Stwosz, Stańczyk), w których treść cała skupia się w jednej lub dwóch osobach. W Skardze natchniony kaznodzieja jest prawie wszystkiem w obrazie; reszta to tylko tło, to bierna rola, na którą pada ziarno słów jego. To tło możnaby przerabiać w rozmaity sposób, możnaby jedne figury usuwać, inne natomiast wprowadzać, treść obrazu małoby się przez to zmieniła. To ześrodkowanie całej czynnej strony obrazu w jednej osobie, wynikające zresztą z samego przedmiotu, jest przyczyną nadzwyczajnej jasności i przezroczystości układu. Dość raz rzucić okiem na obraz, już się wszystko ogarnia i wszystko rozumie.

Nierównie więcej skomplikowaną a wysoce dramatyczną scenę przedstawia „Upadek Polski". Czyn Rejtana wywołuje ogólne zamięszanie, nie tak jak słowa Skargi, które padają na pochylone głowy słuchaczy. Temat tu więc był nierównie trudniejszy, mimo to zwycięzko dokonał mistrz podjętego zadania, a jeżeli jeszcze do tego przypomnimy sobie, że koloryt Rejtana jest daleko świetniejszy od kolorytu Skargi, to łatwo zgodzimy się na to, że w Rejtanie Matejko postąpił jeden krok naprzód.

W dwóch następnych obrazach (Unja, Stefan Batory) zdawało się, że talent mistrza stanął i nie może posunąć się wyżej. W istocie w obu tych obrazach pomimo bogactwa pojedyńczych figur panuje pewna martwość i jakby oschłość fantazji. Treść obrazu nie wyłania się sama przez się, potrzeba tam mnóstwo komentarzy historycznych, ażeby ją dokładnie zrozumieć, co naturalnie bardzo osłabia wrażenie. Było to jednak, jak się zdaje, nie tyle winą fantazji mistrza, ile obranego przedmiotu. W obu obrazach przedstawioną jest wprawdzie chwila bardzo uroczysta, ale zarazem bardzo ceremonialna; ztąd ceremonialny spokój w całym obrazie, na wszystkich twarzach, i tylko gdzieniegdzie z pod tej zasłony, przebija się żywsze uczucie, wywołane myślą o dziejowej ważności chwili. Nie ma tu pola dla nagłego, samorzutnego objawienia się namiętności ludzkich; wszystko, jak przy każdej ceremonji, jest z góry obmyślane i ułożone.

Nadszedł Grunwald i wołamy: Matejko ruszył naprzód! Nowy obraz naszego mistrza, prześcigający rozmiarami wszystkie dawniejsze jego obrazy, prześciga je zarazem i trudnością zadania. Bitwa Grunwaldzka stanowi zupełny kontrast z dwoma ostatnimi obrazami Matejki: w tamtych ceremonialność, spokój, refleksja na wszystkich twarzach; tutaj burza, zamęt uczuć i ruchów, wszystko wre i kipi, uczucia nie kryją się pod maską, ale natychmiast objawiają się w śmiertelnych rzutach i ciosach, wszystko jest wytworem jednej chwili, największe wysilenia trwogi i zapału łączą się w jeden potężny chaos. Odmalować ten chaos — zadanie niesłychanie trudne, tem trudniejsze, że artysta nie trzyma nas z daleka, nie każe nam patrzeć na ogólne tylko linje i kontury walki, ale wprowadza w jej środek, w największy tumult, w najgorętsze miejsce walki. W porównaniu z tym obrazem trudność zadania dawniejszych obrazów Matejki, nie tylko Skargi, Unji i Stefana Batorego, ale i bardziej od nich dramatycznego Rejtana, wydaje się igraszką.

Jak się wywiązał Matejko z tego trudnego zadania? Żeby odpowiedzieć na to, trzeba wyszczególnić naprzód treść obrazu. Na pierwszym planie widzimy straszną mięszaninę ludzi walczących, trupów, koni, zbroi i szat jaskrawych, wszystko to jest tak splątane, że z początku, na pierwszy rzut oka, dla kogoś, kto po raz pierwszy staje przed obrazem, wydaje się to jakąś masą, drgającą tysiącem kolorów i niezrozumiałych kształtów. Z tej masy wydziela się jedna tylko postać Witolda i zdaje się wyrywać z chaosu. Oko widza pracować musi nad wydobyciem szczegółów i ich powiązaniem i dopiero po niejakim czasie spada niejako zasłona z obrazu, niezrozumiałe dotąd kształty wiążą się z sobą i nabierają znaczenia i przed oczyma widza wyrasta obraz śmiertelnych zapasów.

Bohaterem obrazu, reprezentantem zwycięztwa jest Witold. Z podniesionemi rękami, z których w jednej trzyma miecz, w drugiej tarczę, z twarzą, na której maluje się więcej niż zapał, jakieś upojenie bitwą i tryumfem; pędzi on przed siebie na arabskim koniu, którego oczy zdają się żarem miotać. Witold sam nie walczy, zdaje się być tylko wcieleniem zwycięztwa. Przed nogami jego konia wywrócił się na ziemię Konrad, książę na Oleśnicy, walczący po stronie Krzyżaków. Zakłopotana jego pozycja i ozdobny strój stanowią kontrast z prostotą stroju i zwycięzką postawą Witolda. Dopiero po obu stronach tego ostatniego toczy się walka zażarta, dzieląc się na kilka epizodów zmięszanych z sobą na płótnie, ale nie powiązanych ściślej. Niemal z każdego z nich możnaby utworzyć osobny obraz historyczny.

Najważniejszym z tych epizodów, najznakomitszym jak się zdaje, pod względem układu i wykończenia ustępem obrazu, jest grupa przedstawiająca Wielkiego mistrza, napadniętego przez dwóch wojowników z wojska polskiego. Strój ich barbarzyński równie jak i to, że walczą pieszo, wskazuje, że są to wojownicy niższego rzędu. Jeden włócznią, drugi siekierą godzi w mistrza, a z ich zamachu, z ich wytężonych muskułów widać, że ciosy to będą śmiertelne. Przestrach na twarzy w całej postawie mistrza wybornie oddany. Odchylił się w tył, broni się pałaszem, ale w samem trzymaniu pałasza czuć już obawę, że się nie zdoła obronić od grożących ciosów. Koń jego biały, przepysznie odmalowany perszeron, również przestraszony staje dęba i cofa się. Za mistrzem przerażone twarze krzyżaków i podniesione ich prawice jeszcze bardziej akcentują wielkie niebezpieczeństwo, w jakiem się ich naczelny wódz znajduje.

Grupa ta umieszczoną jest na pierwszym planie, zaraz po lewej stronie od Witolda. Po tej samej stronie także na pierwszym planie, ale dalej ku krawędzi obrazu znajduje się inna grupa: Jakób Skarbek, herbu Habdank, naciera na Kazimierza Szczecińskiego, który wraz z Konradem Białym walczył po stronie Krzyżaków; tymczasem młody łucznik polski chwyta za uzdę konia Kazimierzowego, Szlązak odwraca się, aby odeprzeć cios pędzącego za sobą rycerza, tak, że twarz jego widną jest tylko z profilu. Otóż, czy brak światła, czy zbyt wielkie nagromadzenie różnorodnych szczegółów w tem miejscu jest przyczyną, że trzeba długo się wpatrywać, zanim się nam ten profil ukaże. To samo dotyczy także i podniesionej nogi łucznika, którą dopiero po dłuższem wpatrzeniu się dostrzegamy.

Po prawej stronie Witolda na pierwszym planie również dwie główne wydzielają się grupy. Pierwsza przedstawia Żyszkę, który oburącz podniósł miecz, aby nim zadać cios śmiertelny powalonemu już komandorowi krzyżackiemu. W zamachu tym ogromna siła; Krzyżak stracił już widać wszelką nadzieję, nawet się nie broni, nawet nie chce na ten cios patrzeć. Za Żyszką na czarnem tle, nie zupełnie zrozumiałem, zarysowuje się głowa, jak sądzić można z typu twarzy, Anglika, który podnosi sztylet, aby nim ugodzić w Żyszkę. W tem miejscu największy może daje się czuć brak przestrzeni. Dalej na prawo od tej grupy jakiś Tatar z barbarzyńskim wyrazem radości na twarzy ściąga z konia komandora krzyżackiego, któremu arkan na szyję zarzucił. Pod względem wyrazistości ruchów i twarzy a także plastyki i świetności farb, jest to jeden z najznakomitszych ustępów obrazu.

Za temi głównemi grupami jest jeszcze kilka innych figur, należących do pierwszego planu i wplątanych mniej wyraźnie w toczącą się tutaj walkę. Za niemi w głębi podnosi się obłok kurzu i dymu, przez który, jak przez mgłę, widnieją włócznie nacierających Polaków. Wyżej

na tle tego obłoku zarysowuje się, stosownie do tradycji przechowanej u Długosza, postać św. Stanisława, błogosławiąca wojsku polskiemu.

Drugi plan przedzielony jest obłokiem kurzawy na dwie nierówne części, z których każda jest jakby osobnym obrazkiem wklejonym w ogólne ramy obrazu. Szczególnie i najsłuszniej podziwianą jest lewa część drugiego planu, przedstawiająca walkę konnicy polskiej z krzyżacką pod młynem wietrznym, gdzie się rozłożył obóz krzyżacki. Zdaje się, że słychać wrzawę wojenną, rżenie koni i szczęk pałaszy, z taką werwą odmalowana ta scena; przytem perspektywa powietrzna tej części nic nie pozostawia do życzenia. Prawa strona drugiego planu przedstawia rozległą równinę, z boku obrzeżoną lasem, pod którym przeciąga hufiec polskiego rycerstwa z Jagiełłą na czele.

Z tego pobieżnego przeglądu szczegółów widzimy już, jak olbrzymi materjał wciągnął Matejko do swego obrazu. Czy go ułożył w całość doskonale powiązaną? Na to pytanie nie można stanowczo odpowiedzieć twierdząco. Wprawdzie pomimo realistycznej dążności, jaką przypisują Matejce w tym obrazie, panuje tu widoczna symetrja w układzie: i tak pierwszy plan przedzielony jest postacią Witolda na dwie równe części, a każda z tych dwóch części ma po dwie główne grupy: ale symetrja nie jest jeszcze duszą układu. Brak tu ogniska skupiającego w sobie rozstrzeloną walkę. Nie jest nim Witold, jakkolwiek postać jego umieszczona w środku i nacechowana natchnieniem głównie przy sobie zatrzymuje uwagę widza, nie jest niem, bo nikt się w obrazie na niego nie ogląda, nikt nań nie zważa. Nie jest nią i grupa z wielkim mistrzem krzyżackim, a nie jest tylko dlatego, że umieszczona obok Witolda, który niejako cień na nią rzuca i odwraca od niej uwagę. Gdyby była umieszczona w środku i w jakikolwiek sposób z Witoldem skojarzona, mogłaby stanowić wyborne ognisko walki. Inne grupy jeszcze bardziej epizodyczne mają znaczenie. O scenach drugiego planu już wspomniałem, że są jakby osobnymi obrazkami, wprawionymi w ogólne ramy obrazu. Tak więc układ obrazu jest mozaiką epizodów, z których żaden nie wyrasta do znaczenia głównego jądra obrazu, dokoła którego grupowałaby się reszta epizodów.

Czy to wypłynęło z realistycznej dążności mistrza w tym obrazie, czy z trudności ugrupowania tak olbrzymiego materjału? tego nie wiemy, ale to wiemy, że w skutek tego oko widza nie może z łatwością objąć i przekazać pamięci ogólnego widoku walki.

Za to każda z pojedyńczych grup tworzy organiczną całość, w granicach swoich znakomicie wykończoną. Jak w układzie całości widać mozolną pracę refleksji, tak przeciwnie pojedyńcze grupy zdają się być jednym szczęśliwym rzutem fantazji utworzone. Słusznie można tu podziwiać nadzwyczajną rozmaitość a zarazem prawdę ruchów, pozycji, wyrazu uczuć, a to tak w koniach, jak w ludziach. Jaka n. p. rutyna i turniejowy spokój w natarciu Jakóba Skarbka, a co za forsa w zamachu Żyżki! Jaka niezachwiana siła w wytężonych muskułach polskiego wojownika w czerwonym kapturze, który zamierzył się na mistrza, a jaka trwoga i niepewność w ruchach i postawie tego ostatniego! Jakim ogniem zapału tryskają oczy i nozdrza Witoldowego konia, a jak boleśną jest postać zdychającego konia komandora Marquarda. Takich kontrastów można by naliczyć bardzo długi szereg.

Co się tyczy samego malowania, to dwie wielkie zalety pęzla Matejki, nadzwyczajna siła plastyki i świetność barw jaśnieją w tym obrazie w całej pełni. Lśniące zbroje, jedwabie, aksamity łudząco wyglądają; robią im wprawdzie zarzut iż są zanadto świetne i czyste jak na krwawą walkę wśród dymu i kurzawy, zarzut to jednak małego znaczenia. Pod tym względem Matejko trzymał się w ogóle z daleka od okropności realizmu i żadnej wstrętnej ani rażącej sceny nie wprowadził do swego obrazu. Chodziło mu tu głównie o dramatyczną poezję ruchów, i za jej pomocą potrafił wyrazić wszystko, co chciał. Prócz tego inną jeszcze godzi się zaznaczyć zaletę obrazu: oto nadzwyczajna rozmaitość jaskrawych barw, nie przechodzi w pstrokaciznę, jak to ma po części miejsce w Stefanie Batorym, ale układa się w harmonijne akordy.

Najsłabszą stroną obrazów Matejki jest, jak wiadomo, perspektywa powietrzna. I w tym obrazie, wyznać trzeba, daje się uczuwać brak przestrzeni, brak powietrza. Nie stosuje się jednak ten zarzut do wszystkich części obrazu. I tak, jak już wspomniałem, lewa strona drugiego planu ma przepyszną perspektywę, a nawet w ogóle całemu drugiemu planowi nie można pod tym względem żadnego zrobić zarzutu. Ale spojenie drugiego planu z pierwszym jest wadliwe; czujemy tu jakiś brak, naturalnie brak powietrznej przestrzeni. Ten brak przestrzeni i na pierwszym planie daje się w niektórych miejscach uczuwać.

Jednakże jakkolwiek Matejko nie pokonał wszystkich co do jednej trudności swego olbrzymiego zadania, jakkolwiek pod względem układu całości i perspektywy powietrznej dadzą się zrobić pewne zarzuty: pomimo to wszystko Bitwa Grunwaldzka jest potężnym utworem, jakim się żadne współczesne malarstwo pochwalić nie może i jest bez wątpienia największem dziełem, na jakie się malarska sztuka polska dotychczas zdobyła.

J. T.

Piśmiennictwo francuskie.

Histoire de la Russie przez p. *Alfreda Rambaud*; *Histoire de la Litterature contemporaine chez les Slaves*; przez p. *C. Courrière*; *Histoire de l'Autriche-Hongrie* przez p. *Ludwika Léger*.

(Dokończenie).

Dość już jednak o nim i o historji jego. Przystępujemy do zdania sprawy z trzeciego dzieła z *Histoire de l'Autriche-Hongrie*, napisanej przez p. *Louis Léger*, profesora przy szkole specjalnej języków wschodnich żyjących.

I to robota, lecz o wiele od dwóch poprzednich lepsza. Czy to dla nieobecności specyficznych patrjotycznych pobudek, czyli też dla innych jakich powodów, autor w odniesieniu do traktowanego przez się przedmiotu zajął stanowisko objektywne i utrzymał się na niem do końca, pomimo że i on mógł się dać uwlec, jak dwaj tamci, dewizom pseudo-filozoficznym: zadania politycznego, missji historycznej, celów jakichś specjalnych na poły mistycznych i tym podobnym scientyficzno-fantastycznym mistyfikacjom. Wszak i Austrji przypisują cele, missje i zadania, inne aniżeli te, które mądrość ludów wyraziła pod postacią przysłowiową po łacinie: *tu Austria felix nube*. Autor traktuje swój przedmiot, tak jakby miał do traktowania historją rośliny, której cele, missje i zadania polegają na zachowaniu bytu w warunkach, zapewniających rozróst jak najpomyślniejszy. Nie co innego służy państwom za zaczyn i za siłę popędową w bytowaniu ich; Austrja trzymała się tej drogi i wykierowała się wcale nie źle:—na tej też drodze rozpatruje pan L. Léger koleje losów jej; że atoli ma do czynienia z przedmiotem wielce skomplikowanym popełnia więc niekiedy omyłki mimowolnie.

Omyłka jawi się od pierwszego słowa. „Cesarstwo austro-węgierskie — zaczyna autor — mimo wielkie wspomnienia historyczne przywiązane do domu austrjackiego, jest jednem z najmłodszych państw europejskich; założonem rzeczywiście zostało dopiero w r. 1804.“ W r. 1804 założonem zostało cesarstwo austrjackie, które było co innego, aniżeli dzisiejsze dwoiste państwo. To ostatnie datuje się od r. 1867, w którem stanęło cesarstwo-królestwo austro-węgierskie — przemiana w odniesieniu do poprzedniego stanu rzeczy nie formalna jeno, a treściowa i kto wie, czy ostateczna. Najpierwsze przeto wyrazy szanownego autora są w niezgodzie lekkiej z tytułem dzieła, odnoszącym się do momentu obejmującego lat dwanaście ostatnich. Tytuł ów powinien by być uzupełnionym w sposób następujący: „Historja cesarstwo-królestwa austro-węgierskiego i pochodzenia onego.“ Pochodzenie stanowi rzecz ważną. Dzisiejsze państwo austro-węgierskie przedstawia się jako jezioro, utworzone ze ścieku odwróconych sztucznie od kierunku naturalnego kilku rzek i kilku dopływów. Głównie wód dostarczyły: gruppa niemiecko-słowiańsko-włoska, skupiona około arcyksięstwa austrjackiego (górna i dolna Austrja, Styrja, Karyntia, Karniola, Gorica, Gradiska, część Istrii i Tyrol), Węgry i Czechy. Złączenie się ich w państwo złożone nastąpiło w wieku XVI (Ferdynand I). Poprzednio atoli istniały i urabiały się przyczyny, które złączenie to sprowadziły. Przyczyny te spowodowują interes historyczny, który każe iść do źródeł i do historji monarchji Habsburgów dzisiejszej wkluczać historję szczepów słowiańskich, historję Węgier, historję Czech i historję domu panującego. Ta ostatnia odegrała rolę ogromnie ważną, ważniejszą aniżeli w każdem innem państwie. W odniesieniu do roli tej autor nasz wyraża zamiar, którego wypełnić nie jest w stanie. „Niesłusznie powiada — łączono historję domu austrjackiego z historją państw, składających obecnie władanie onego: błąd ten, przebaczalny w czasach gdy historja ludów streszczała się w historji panujących, nieprzepuszczalnym jest dziś; wie się obecnie że narody mają byt niezależny od bytu rodzin książęcych i że rodziny te, chociażby początki ich najznakomitszemi były, poddają się wkońcu aspiracjom narodowym“. Tak i p. L. L. zakreśla sobie zamiar, w wykonaniu atoli onego opowiada koniec końcem historje rodzin książęcych, oskrzydlających zdaleka najprzód, następnie coraz to bliżej rodziną, która w ukształtowaniu się państwa pełniła funkcję pestki rodzajnej i na drodze podbojów, związków małżeńskich, procesów ze sfałszowanemi dokumentami, układów dyplomatycznych, etc. ulepiła całość z części różnorodnych, bez spójni geograficznej, bez spójni narodowej i bez granic naturalnych. Jestto fenomen dziejowy, o ile ciekawy, o tyle zadziwiający i ogromnie skomplikowany.

Z powodu komplikacji fenonemu tego opo-

wiedzenie historji Austrji przedstawia trudności nie mało. Pan L. L. potrafił trudności te pokonać i dał obraz jasny — tem jaśniejszy że streszczony — zdarzeń, które różnorodne pierwiastki do jednego państwowego ciągnęły mianownika. Że obrazu podobnego nie sposób skreślić bez tendencji pewnej, więc podłożył go tendencją, zasługującą całkowicie na uznanie nasze, wyrażającą się bowiem pod postacią równego uwzględnienia praw narodów, w skład państwa wchodzących. Pokazuje to, że pan L. L. posiada zmysł historyczny w wyższy rozwinięty sposób, aniżeli p. p. Rambaud i Courriérè: nie adwokatuje w interesie czyimś specialnym, lecz kolejno i systematycznie, zaczynając od czasów przedhistorycznych, opowiada losy ludów podległych obecnie berłu Franciszka-Józefa. Niby w panoramie przesuwa przed oczami czytelnika: najprzód pierwotnych barbarzyńców, następnie wytwarzanie się stopniowe trzech grup, węgierskiej, czeskiej i austrjackiej, dalej, Czechy i Węgry pod królami obieralnymi, dalej, cesarzy z domu austrjackiego przygotowujących i zapewniających jedność monarchji, wkońcu czasy nowsze, od Marji Teresy poczynając i na r. 1878 kończąc. W panowaniu tej nasuwają się i sprawy polskie razy kilka, pokazywane ze spokojem historyka, zaznaczającego fakty bez tego, co Francuzi nazywają *parti pris*. W krótkości — w krótkości za wielkiej, niestety! — wykazuje autor ważną w historji naszej odegrywający rolę udział Polski w wojnach hussyckich, jakoteż punkt wychodni pretensyj domu austrjackiego do Galicji. Sobieski nie wyzwala Wiednia *avec les Russes*. W kwestji podziałów Polski Austrja nie występuje jako ofiara, zmuszona popełnić zły uczynek, lecz jako zręczna negocjatorka, która pierwsza na Polsce zaboru dokonała, anektując na rok przed pierwszym podziałem Spiż. W tenże sam sposób zaanektowaną została i Bukowina. W opowiadaniu o rzezi tarnowskiej spotykamy się z przedstawieniem faktu zgodnem z prawdą. Wzmianka o powstaniu 1863 brzmi jak następuje:

„W Galicji powstanie Polski rossyjskiej wywołało fermentację silną i zaambarasowało na serjo gabinet wiedeński. Postawa jego była bardzo dwójznaczna. Podczas gdy Prusy zawierały z Rossją konwencją militarną przeciwko powstańcom, pan Rechberg, minister owoczesny spraw wewnętrznych, zachowywał się wobec stron obydwóch ze względami machiawelskiemi. Napoleon III, sympatyczny Polakom, liczył na Austrję w celu próbowania kampanii przeciwko Prusom i Rosji. Chciał pomódz gabinetowi wiedeńskiemu do odebrania Szląska i zapewnienia księstw dunajskich w zamian za Wenecją. Projekta te ani zrozumianemi ani smakowanemi były we Wiedniu. Rząd cesarza Franciszka Józefa ograniczał się na stosowaniu do S. Petersburga not dyplomatycznych i ostatecznie zaprowadził w Galicji stan oblężenia. Postępowanie to dwójznaczne oburzyło wielce nietylko Polaków, ale także i spółplemienników ich w Czechach i w Morawii, skłonniejszych do sympatyzowania z rewolucją polską, aniżeli z autokracją moskiewską. Kto zgadnąć może, w coby się obróciła Austrja, gdyby, zrzekając się szczerze panowania w Niemczech i posiadania Wenecji, szukała była kompensat ze strony Polski?"

W ogóle p. L. Léger, o ile przychodzi mu wzmiankować o Polakach, nie psuje ich pochwałami, nie wygłasza pod adresem ich frazesów sensacyjnych, wytyka im przywary, lecz czyni to w granicach prawdy i przyzwoitości historycznej. W rozumowaniach jego nie czuć tego, ażeby czerpał inspiracją bądź w redakcji *Nord'a* bądź też w okolicznościach, nakazujących Francuzom oglądać się za sprzymierzeńcami przeciwko Prusom. Wykład jego, jasny i trzeźwy, najbardziej zbliża się do tych warunków, jakie nowa pozytywistyczna szkoła historyczna wkłada na badaczy dziejów, wymagając od nich przedewszystkiem prawdy w przedstawianiu rozwoju zdarzeń. To też p. L. L. prawdy nie gwałci, nie wytykając sobie z góry tezy, którejby wykład podporządkowywał. Z pracy jego, charakter której jest przeważnie informacyjny, Francuzi z pożytkiem korzystać mogą: kto zaś z czytelników zapragnąłby szczegółów bliższych, znajdzie przy końcu dzieła wykaz bibliograficzny, wskazujący źródła i opracowania ważniejsze.

Usterków, któreby się znalazły, gdybyśmy takowych poszukać chcieli, nie wykazujemy, zaś dlatego że, dla małej liczby, nie rzucają się w oczy, powtóre dlatego, że nie zmiejszają wartości pracy, mającej na celu popularyzowanie śród Francuzów znajomości historji Austrji. Celowi temu praca pana L. Leger odpowiada w zupełności — odpowiada onemu w wyższym ze względu na obiektywność traktowania przedmiotu stopniu aniżeli praca pana Rambaud. Porównywując jedną z drugą mimowolnie nasuwa się na myśl zapytanie: dlaczego nie panu Leger a panu Rambaud akademia francuska nagrodę przyznała? Pokazuje się, że poważna ta korporacja nieomylną nie jest, zwłaszcza zaś gdy dostało się jej do ocenienia dzieło, do rozpatrzenia którego krytycznie nie posiadała w gronie swojem nikogo.

Bądź co bądź jednak, pojawianie się to piśmienniczych na polu badań rzeczy słowiańskich prac w literaturze francuskiej ma swoją stronę bardzo dobrą. Jest to rodzaj reklamy dla Słowiańszczyzny, która w ten sposób zyskuje rozgłos i budzić ciekawość. Rozgłos i ciekawość wywołają badaczy nowych; ci zechcą sprawdzić podania pierwszych i sprawdzając, dójdą prawdy, którą tacy panowie Rambaud i Courriere otoczyli mgłą tendencji mocno podejrzanej.

Z. Miłkowski.

Wspomnienie.

(Pod portretem mej matki).

Widzę ciebie. widzę jeszcze,
Nad kołyską pochyloną:
Gdy mię bierzesz na swe łono,
Gdy twe ręce, twarz twą pieszczę;
Gdy twe oczy — jasne zorze
Blask łagodny ku mnie sieją...
Gdzieżeś, gdzieżeś o! mój Boże!
Tarczo moja i nadziejo!

Matko droga! Ach, lat tyle
Przeminęło od tej doby...
Ty — spoczęłaś już w mogile,
Ja — przeżyłem dnie żałoby...
Dzień mię każdy na dół chyli;
Ludzie grób twój podeptali;
A ja, po swą gwiazdę w dali,
Dłoń wyciągam każdej chwili...

Matko moja! oh, ty święta,
Ty mych biały dni aniele...
Przecierpiałem wiele, wiele,
Czara moich łez wyschnięta...
Lecz w cierpieniu duszę własną,
Ukajałem twem wspomnieniem. —
O! i nadal bądź mi jasną
Gwiazdą — wiarą i zbawieniem!

Władysław Bełza.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Rzewnicki nie był w ogrodzie podczas wystawy kwiatowej. Nie pozwalały mu na to interesa a po części nie pozwalał i zwyczaj. Znalazł się ktoś, nie zaręczylibyśmy czy nie nasłany od hrabiego, który mu wytłómaczył że mąż żony zaproszonej do udziału w kweście, czy zabawie takiej jak loterja fantowa, nie ma prawa uważać się także za zaproszonego, a okryłby się śmiesznością i okazał parafjaninem, gdyby w czasie tego jej zetknięcia się z publicznością stał za jej krzesłem i argusowemi spojrzeniami śledził każde jej słowo, każdy uśmiech. Gdyby był nawet Emil o tem nie wiedział, musiał by się do tej uwagi zastosować i zostawić żonę swoją sam na sam ze światem.

Ale jak powiedzieliśmy, ostrzeżenie to było zbyteczne. Interesa nie pozwalały Rzewnickiemu zupełnie w ten dzień oddalać się z kantoru i oddawać zabawie. Na bankierów, a zwłaszcza też na bankierów którzy obracają małym własnym a wielkim cudzym majątkiem i którzy chcą nim obracać sumiennie, przychodzą często takie chwile. Emil odważył się na jakąś operację dość ryzykowną; której losy właśnie w tym dniu się rozstrzygały: drżał nietyle o siebie ile raczej o to, żeby nie zawieść pokładanego w nim zaufania. Nieszczęśliwy rezultat jednej takiej operacji mógłby zachwiać całem jego istnieniem, bo hrabia przerażony mógłby wycofać swoje kapitały i z całego jego przedsięwzięcia wyssać przez to soki żywotne. Przed ożenieniem się Emil nie byłby nigdy podobno odważył się na podobnego rodzaju operacje, działał ostrożnie, szedł powoli ale na pewno, dopiero po ożenieniu, gdy spostrzegł, że jego własne wydatki przybrały większe rozmiary, niż im zakreślał, ujrzał, że nie zrównoważy swego budżetu, jeżeli trochę forsowniej nie powiększy dochodów. Uległ pokusie, która bankowi od razu nastręczała zysk bardzo znaczny, ale też jakto zawsze bywa w handlu, gdzie zysk jest tylko ekwiwalentem ryzyka, tak jak w mechanice siła jest ekwiwalentem czasu, groziła w razie niepowodzenia ogromną stratę. Gdy krok stanowczy uczynił, zadrżał

i przeraził się sam siebie, lecz cofnąć się już nie było można i w dniu, w którym Natalia odbierała hołdy składane swojej próżności, w dniu, w którym na jej tacę sypało się złoto hrabiego, a następnie banknoty i srebrne sztuki wszystkich tych, którzy byli ciekawi ujrzeć bohaterkę tak głośnego na cały ogród wypadku, Rzewnicki drżał czy się cała budowa jego majątku, cały gmach jego przyszłości w proch nie rozsypie.

Nie przyszło do tego, przepłynął przesilenie szczęśliwie. Gdy Natalia powróciła do domu miał już telegram, który go zawiadamiał, że operacja się udała, że jest dwa razy bogatszy, jak był przedtem i że baron Pogromski, gdyby jutro przyszedł do niego, mógłby z wielkiem zadowoleniem oddać się swemu ulubionemu zajęciu, t. j. obliczaniu zysku, jaki mu przynosiła spółka, i byłby nie bez zdziwienia cyfrę procentową zobaczył.

Natalia chciała opowiedzieć mężowi szczegółowe wypadki dnia, Emil chciał jej opowiedzieć koleje, jakie przechodził; każde swojem bardziej było zajęte. Co jego w tej chwili mogły obchodzić fanty i kwiaty, co ją obchodziły akcje i kursa? Nie mogli się z sobą dogadać. Ona usłyszała coś o zakończeniu szczęśliwem przebiegu interesów, dowiedziała się, że sprawa mężowi dobrze poszła, ale nie wiedziała nic więcej, on się dowiedział, że i na giełdzie jego żony papiery stały dobrze, że z jej tacy filantropia największe żniwo zebrała, usłyszał że był ktoś, co za jeden kwiatek u jego żony kupiony, zapłacił tysiącem złotych, ale się nie dopytywał o nic więcej.

Zato gdy nazajutrz przeczytał fejleton w gazecie, gdy się domyślił, bo niedomyśleć się nie było można, że tam bywa mowa o jego żonie i o hrabi Gustawie, grubą fałdą zmarszczyło się jego czoło.

— Dlaczego mi ona o tem nie powiedziała, że to był on...? — rzekł do siebie.

Emil był niesprawiedliwy, nie przypominał sobie, że źle słuchał żony, jak się to zwykle zdarza mężom, których głowa podczas rozmowy małżeńskiej zajęta jest interesami czysto męskiemi. Natalja nie chciała, ani nie miała powodu taić" przed nim rozmowy z Gustawem, owszem czuła potrzebę powiedzenia mu o tem, i najbardziej nawet była niezadowoloną z tego że to nie budziło w mężu zajęcia. To też wznowienie dawniejszego stosunku, którego rozwiązanie nagłe i niespodziewane było jak wiemy tajemnicą dla Emila, byłaby mu opowiedziala szczegółowo, i nic z przeszłości nie zostałoby dla niego zakrytem, gdyby był miał odwagę teraz już, po ślubie, zapytać się jej szczerze, co to było. Ale on i teraz czuł się związanym jej życzeniem, żeby o tem pomiędzy nimi niebylo mowy, a opowiadania żony o tryumfach odniesionych w ogrodzie saskim nie bardzo go zaciekawiały.

Po przeczytaniu fejletonu Wicka, powinien był zatem Emil mieć urazę do siebie, miał ją do żony; była to pierwsza chmurka na niebie ich małżeńskiego pożycia.

W kilka dni potem, kiedy pani Emilowa była w domu sama, w godzinie wizytowej, służący zameldował jej gościa.

Wymienienie nazwiska dziwne na niej zrobiło wrażenie; było to nazwisko Gustawa.

W pierwszej chwili chciała odmówić przyjęcia wizyty i już gest zrobiła przeczący, ale przyszła jej do głowy myśl, czy ma prawo to uczynić.

— Wszakże sprzedalam mu kwiatek zapomnienia i przebaczenia — rzekła do siebie, z lubością przypominając sobie poetyczny obraz tej sceny jaki się urobił w jej wyobraźni — gdybym go nie przyjęła byłoby to dowodem, że kwiat za który tak znacznej żądałam ceny, a który on w trójnasób zapłacił, był tylko kwiatem sztucznym a nie naturalnym i rzeczywistym. Pamiętam — mówiła dalej w duchu — alem nie powinna pamiętać...

I zwracając się do służącego rzekla:

— Proś pana hrabiego...

Gustaw przyszedł z jak najzwyczajniejszą wizytą: gdyby kto słyszał ich rozmowę, mógłby sądzić, że się poznali przed tygodniem na balu, że hrabia był przedstawiony pięknej bankierowej, że z nią przetańczył walca, lub polkę i że dopełnia najzwyklejszego obowiązku złożenia jej swego uszanowania w jej domu.

— Na niego — pomyślała Natalia — kwiatek zapomnienia podziałał bardzo skutecznie.

Już to samo że tak pomyślała, świadczyło, że z nią samą było trochę inaczej. W pierwszej chwili musiała użyć całej mocy panowania nad sobą żeby rzeczywiście nie pamiętać. Ale zwyciężyła się prawie i pod koniec krótkiej wizyty była już zupełnie swobodną, zupełną panią siebie.

Wypadek chciał, że przed wyjściem jeszcze hrabiego, przyszedł do domu Emil i wszedł do salonu w którym Natalia przyjmowała gościa.

Obecność Gustawa zdziwiła go trochę i była dla niego największą niespodzianką, ale jeżeli gość był dziwny, to żona wydała mu się jeszcze dziwniejszą. Żywość jej, swoboda były dla niego nie pojęte. Nie rozumiał jakim sposobem mógł zniknąć powód do przykrego wrażenia, jakie sam widok Gustawa zwykł był robić na jego żonie. Nie myślał jednakże pytać o to. Ludzie z jego charakterem nie umieją się pytać i nie lubią, a przecież ileż to nieszczęść w życiu ludzkiem ile nieporozumień w stosunkach dałoby się usunąć i uniknąć, gdyby ci, którzy są bliskimi siebie, nie żenowali się niekiedy pytać o to, o czem chcą wiedzieć, i mówić wszystko co powiedzieć pragnęli.

Emil nie żądał objaśnień; Natalia ich nie dawała, tem bardziej, że mąż wkrótce po odejściu hrabiego był znów zmuszony wracać do kantoru, z którego tylko wybiegł na chwilę.

Ale wieczorem tego dnia, gdy sobie Emil przypomniał wizytę hrabiego, znów fałdą zmarszczylo się jego czoło i była to druga chmura na horyzoncie małżeńskim państwa Rzewnickich.

— Znów ten człowiek — mówił do siebie nasz bohater — i znów jakieś tajemnice.

W małżeństwie sprawdza się wiekuiste i powszechne prawo fizyczne, będące raczej matematycznem prawem — prawo przyspieszenia biegu ciał spadających, wzrostu postępów i t. p. Gdy w stosunkach małżeńskich zaczną się objawiać nieporozumienia, to rosną one bez końca, jeżeli ich jakaś zewnętrzna okoliczność albo krok bardzo stanowczy, albo też bardzo umiejętne i przezorne postępowanie ze strony jednego z małżonków nie przetnie.

Do takich nieporozumień najłatwiejsze jest pole u małżeństw które się skleiły tak, jak małżeństwo państwa Rzewnickich. Że on ją kochał, o tem wiemy, czy ona jego kochała, za to nikt zaręczyć nie może. Być może, iż zostawali tylko pod wpływem jakiegoś złudzenia, do skojarzenia się ich przyszło powoli, los usuwał przeszkody, które się zdawały niezwalczone i postawił ich wreszcie w takiej pozycji, iż się im obojgu zdawało, że są przeznaczeni dla siebie.

Po drugiej chmurze ukazała się więc niebawem i trzecia, a była ona jeszcze groźniejszą, bo już nietylko spokojowi i pogodnej myśli Rzewnickiego zagrażała, lecz podkopywała w zarodzie pomyślnie rozwijającą się ich materjalną egzystencję, czego oni sami nie domyślali się nawet.

A była to przecież rzecz najdrobniejsza. Pani Emilowa powiedziała do męża:

— Emilu, mnie się zdaje, że my moglibyśmy otworzyć dom.

— Ha! — rzekł Emil i zamilkł.

— Czy ci się nie podoba ta myśl? — zagadnęła młoda żona, spoglądając na niego z figlarnym uśmiechem, którym tak łatwo żony mężów rozbrajać potrafią.

— Oh! tego nie powiedziałem — odrzekł Emil — tylko...

— A więc jest i tylko?

— Skoro ty chcesz tego, to nie ma, powiedziałaś stalo się, dom nasz jest otwarty, przyjmujemy w dniu, który oznaczysz, a ja na wszystko czego do tego potrzeba, szczędzić nie będę.

Żona rzuciła się mężowi na szyję i ucałowała go w czoło.

Podziękowała mu i upieściła go za to, że przez słabość dla niej popełnił znów jeden z najfatalniejszych w jego położeniu błędów.

Tak zwane „otwarcie domu" zdaje się niczem. Przyjęcie tygodniowe gości jest rzeczą napozór bardzo mało kosztowną, co jednak w każdem prawie położeniu z wyjątkiem domów urządzonych na wielką stopę, w których to rzeczywiście nic nie kosztuje, zaprowadzenie takiej nowości ogromnie podnosi budżet. Czem się to dzieje, trzebaby wybrać komisję, żeby badając rachunki domów, które przechodziły tę reformę, wyprowadziła odpowiednie wnioski. Dość że tak się dzieje. I Emil zaraz tego samego dnia spostrzegł, iż pani jego będzie odtąd miała większe do jego kasy pretensje, niż miewała dotychczas.

Wyrzucał sobie, że był słaby, ale takie wyrzuty ile razy ktokolwiek je sobie czyni, są tylko dowodem że jest slabym. Sił mu one nie dodadzą bynajmniej. Tak samo chory mówi: „jestem chory" ale słowa jego, to nie chinina, ani żelazo.

Emil dawał pieniądze, a z drugiej strony myślał o tem, żeby je mieć. Dla człowieka w jego położeniu myśl to najniebezpieczniejsza. Dorobkowicz, spekulant, który nie wydatki do dochodów ale dochody do wydatków chce slósować, nieskończenie prędko dójść musi do punktu, w którym pomiędzy dochodami a wydatkami nastąpi równowaga, a potem

zaraz przyjdzie do ujemnych rezultatów w swoim budżecie.

Pierwszy krok na niebezpiecznej drodze był już zrobiony. Była to owa spekulacja szczęśliwa, która o tyle kłopotów przyprawiła Emila w dniu loterji fantowej. Powodzenie oswoiło go nieco z niebezpieczeństwem i śmielej już teraz ryzykował. Dobra gwiazda sprzyjała mu czas pewien, a to go ośmielało jeszcze bardziej.

X.

Gdy baron Pogromski przyszedł ponownie obliczyć się Emilem i wejrzał w książki spółkowe, kierowały nim dwa cele. Zazwyczaj obchodziły go tylko własne zyski. Kontentował się niemi i był szczęśliwy. Teraz przy robieniu bilansu starał się przekonać, czy prawdą jest przypuszczenie, które już zrobił że wydatki osobiste Emila wzrosły niezmiernie. Była to ze strony p. Pogromskiego podejrzliwość, dowodząca, że znakomity ten mąż nie lubił zbytecznem zaufaniem obdarzać nikogo. Każdy inny na jego miejscu byłby Rzewnickiemu najnieograniczeniej ufał, i powinienby nawet ufać. Pan Pogromski podejrzywał, a do podejrzenia dał mu powód fakt któryby niczyjej może nie zwrócił uwagi. Trzeba było wielkiego doświadczenia i znajomości ludzi, trzeba było przechodzić ciężkie walki z losem, których pan Pogromski nie przechodził, trzeba się było zastanowić nad wieloma rzeczami, nad którnmi się nigdy nie zastanawiał, żeby już naprzód przewidzieć z postępowania Rzewnickiego, iż droga, na którą wszedł, może go doprowadzić do ruiny. Jeżeli więc p. Pogromski podejrzewał, to tylko dlatego, że już w charakterze swoim miał sporą dozę podejrzliwości. Każdy inny na miejscu Emila tłumaczący się przed spólnikiem z dochodów i zysków spółki, takby potrafił układać bilans, że wydatki jego domowe i osobiste, jakkolwiek nie utajone, nie zeskamotowane na szkodę spółki, nie uderzałyby przecież w oko. Rzewnicki był tak sumienny, że tego uczynić by nie potrafił i pokazał panu baronowi książkę swoich osobistych wydatków.

Baron niby obojętnem rzucił na nie okiem, ale się przeląkł.

— Hm! hm! — pomyślał — młody człowiek posuwa się szybko. Jest w nim widocznie krew nasza i chciałby po naszemu żyć. No — ale to trochę za wcześnie, chociaż póki ma swoje, co mi tam do tego! Uważać przecież muszę, żeby gdy mu swego zabraknie, mego czasem nie poruszył.

Zyski spółki były jeszcze świetniejsze niż poprzednio, stało się to dzięki owym szczęśliwym operacjom, o których mówiliśmy powyżej. Nie olśniły one jednak tak pana Pogromskiego, jak to bywało dawniej. Nie było już ani wzmianki o powiększeniu kapitału współki, owszem baron Pogromski wyraźnie prawie ostrzegł Emila, że więcej już, gdyby nawet najbardziej było potrzeba, w jego przedsięwzięcia nie włoży.

— Ja się w czepku urodziłem, żem znalazł ciebie, panie Emilu!... któż inny umiałby tak znakomicie powiększać moją fortunę, jak ty to czynisz, ale też za to powierzyłem w twoje ręce wszystko prawie co mam a gdybyś był człowiekiem niesumiennym albo niezręcznym, mógłbyś mnie z dziećmi na bruk wyrzucić, i doprowadzić do żebraczego kija.

— Oh! oh! pan baron przesadza — odpowiedział Emil.

— Nie przesadzam wcale, mój drogi, cóż ja mam jeszcze oprócz tego co się w twoich znajduje rękach, mam pałac, dobra, prawda! — ale na tem wszystkiem jest hipoteka, ciężka hipoteka! Mam nadzieję, że ją z twoją pomocą oczyszczę powoli, bo mi już stzasźliwie dokucza i gdyby nie to, że twoje operacje wielkie zyski mi przynoszą, to położenie moje byłoby bez ratunku prawie. Dochody szły na spłatę procentów...

— Nie mogę temu wierzyć panie baronie i sądzę, że pan zanadto czarno sam sobie swoje położenie przedstawiasz owszem o ile mi teraźniejsze stosunki moje wejrzeć pozwalają w majątki wielu osób zajmujących w społeczeństwie takie stanowisko, jak pan baron, widzę że mało jest u nas panów, którzyby pod względem majątkowym na tak silnych stali nogach.

Pochlebiło to dumie barona, uśmiechnął się i nie przeczył. Wiedział, że Emil nie lubi nikomu mówić komplementów, że ich nigdy nie mówił jemu samemu i czuł w swojem sumieniu, że mu się należy ta pochwała.

Długów też rzeczywiście nie miał żadnych. Te, które były, zaciągnął dlatego, że pieniądze pożyczone można było użyć korzystnie na przykupywanie posiadłości, które większy dochód przynosiły, niż procent od nich wynosił. Baron Pogromski był rzeczywiście dobrze zagospodarowanym panem. Szarpał go wprawdzie trochę Narcyz, a budżet na szpilki baronowej i pięknej Niny wynosił wielką sumę, ale p. baron bardziej na to stękał przed niemi, niż ten ciężar czuł rzeczywiście.

Zakończyli rozmowę bardzo serdecznie; baron biorąc swoją część, uściskał Emila, a co do jego osobistych wydatków, które podglądał tak ciekawie, najmniejszej nie uczynił uwagi.

Jakież było zdziwienie naszego bohatera, gdy w parę tygodni po tej rozmowie odebrał od barona list następującej treści:

„Kochany panie Emilu! Oddaję pod twoją decyzję, czy mi służy prawo, zrobić to, co przedsięwziąć zamierzam, tj. czy mi wolno podnieść z naszej spółki jakiś kapitał, nie zawiadomiwszy cię wprost na znaczny przeciąg czasu. Jeżeli nie mam prawa, nie czyń zadość memu żądaniu; oświadcz mi tylko, kiedy mianowicie powinienem się zgłosić, i uważaj list niniejszy za wypowiedzenie sumy 100,000 złp., której mi gwałtownie potrzeba. Powiedziałem ci, drogi panie Emilu, w ostatniej naszej rozmowie, że zyskami z naszych przedsięwzięć pragnę oczyszczać moją hipotekę. Ale widzę, żeby to była za długa droga i że nie wszyscy wierzyciele są na to gotowi przystać. Jeden z nich dokucza mi tak, że chciałbym się go pozbyć. Jeżeli więc nie chcesz wycofania tego kapitału ze spółki, dla nieodbierania jej podstawy i nie zmniejszenia kapitału obrotowego, to może mógłbyś rzecz tę w ten sposób zalatwić: otwórz mi w swoim banku rachunek bieżący i daj tę sumę za zwykłym bankierskim procentem.

„Jakkolwiek postąpisz, bądź przekonany, drogi panie Emilu, o moim niezmiennym szacunku i wdzięczności.“

Po tych słowach, w ogromnych majestatycznych zakrętach, następował podpis barona.

List ten bardzo prosty zresztą był w wewnętrznem swojem znaczeniu arcydziełem Machiavelstwa, szczególniej zawarta w nim propozycja. Pan baron proponował Emilowi udzielenie mu pożyczki za zwykłym bankierskim procentem. Niech kto chce, weźmie kredkę w rękę, a z łatwością obliczy, że taka propozycja w przedsięwzięciu przynoszącem zysk daleko większy, była zyskowną tylko dla barona, a Emil w każdym razie tracić na niej musiał z swojej szczuplejszej daleko części. Strata nie wielka stosunkowo, ale zmniejszała zawsze jego udział.

Emil nie posądzał barona o Macchiavelstwo, tylko o niezrozumienie interesów. Pomyślał chwilę, rozważył stosunki barona, o ile je znał, i nie koniecznie chciał wierzyć w gwałtowność potrzeby, ale powiedział sobie, że wątpić o niej nie ma prawa, był zresztą tyle szlachetny, iż sądził, że baronowi, który go postawił na nogi, we wszystkiem ulegać powinien, i nie powinien mu mieć za złe, gdyby go nawet z winy okoliczności lub przez nieznajomość interesów na straty narażał. Siadł zatem i odpisał:

„Panie Baronie! życzenie pańskie zostało spełnione; rachunek bieżący otwarty; racz pan przysłać pełnomocnika, a podniesiesz w każdej chwili sumę, która szczęściem znajduje się w gotówce. Gdyby jednak na przyszłość gwałtowność potrzeby pozwoliła panu baronowi na kilka dni przynajmniej naprzód zawiadomić mię o ważniejszych sumach, jakichby p. baron mógł odemnie zażądać, nietylko ja za to byłbym obowiązany, ale wspólne nasze interesa zyskałyby na tem. Jeżeli przytem zamiarem jest pana barona, interesa naszej spółki do powolnej likwidacji doprowadzić, i kapitały swoje w krótszym przeciągu czasu w znacznej części lub w całości wycofać, to prosiłbym o powiedzenie mi tego otwarcie, żebym mógł operacje bankowe odpowiednio pokierować. Zostaję z uszanowaniem i z wdzięcznością — Emil Rzewnicki.“

Odebranie tak znacznej sumy, było dla banku Rzewnickiego ciosem fatalnym. Zrozumie to każdy z łatwością, że zakład jego, jako młody, im więcej miał rozporządzalnej gotówki, tem większy sobie kredyt wyrabiał, a im bardziej tę podstawę utracał, tem bardziej zakres swojej działalności ograniczał i najgłówniejszego nerwu interesów pieniężnych, tj. kredytu się pozbawiał.

W kilka dni po wypłacie sumy barona, przypadały wypłaty inne, mające zabrać resztę rozporządzalnego kapitału, aby więc dalszym później przypadającym terminom i zobowiązaniom zadość uczynić i aby w bilansie zysku spółki mniejsza nie figurowała cyfra, już Emil był *zmuszony* robić owe niebezpieczne operacje, na które się przedtem odważał z niejaką może oględnością, a które mu się dotąd ciągle szczęśliwie udawały.

Fatalne prawo matematyczne, odnoszące się do wszelkiego ryzyka, do wszelkiej gry musiało znaleść zastosowanie i do bankierskich przedsięwzięć naszego młodego spekulanta. Wiadomo, że choćby kto miał największe

*

szczęście, jeżeli ciągle stawia, po niejakim czasie przegrać musi. Można jest ze ścisłością prawie zupełną obliczyć liczbę stawek. w przeciągu których nieprzegranie jest niepodobieństwem, możnaby, gdyby się dało zajrzeć we wszystkie księgi i zrozumieć dokładnie treść i znaczenie interesów każdego bankiera, przewidzieć stanowczo, kiedy ten bankier zbankrutuje. Jedynem jego ocaleniem, jest wycofanie się z interesów, nim fatalna chwila przyjdzie. I Rotszild, który tysiące milionów posiada, byłby zagrożony bankructwem, gdyby cały swój kapitał umieszczał w spekulacjach a nie lokował go i zabezpieczał inaczej, pewniej, naturalnie mniej ryzykownie i mniej korzystnie.

Zażądanie terminu wypowiedzenia dla każdej zapotrzebować się mającej sumy, rzecz bardzo naturalna i jasna, rzecz mająca na celu interes spółki a więc przedewszystkiem interes barona Pogromskiego, wydało się jednak baronowi ostrzegającą o niebezpieczeństwie wskazówką.

— Hm! hm! — mówił do siebie baron— kto wie, czy się nie zagalopowałem zanadto. Miliony powierzyłem mu w ręce, a ten człowiek tak się potrafił z niemi urządzić, że już teraz na żądanie głupich stu tysięcy, robi mi zaraz uwagi, że gdybym drugich zażądał, tobym ich nie mógł mieć odrazu!... To oryginalne! Czy on mi tylko moich zysków moim własnym kapitałem nie spłaca?! Wszakże i tego bywały przykłady w rozmaitych bankach, i przedsięwzięciach; trzeba się mieć na baczności jak największej.

Baron Pogromski nie zupełnie dowierzał temu co mówił, bo gdyby był wierzył, byłby się przeraził wcale inaczej. Przychodziły mu myśli, że Emil może być niesumiennym, ale im nie dawał ucha; bał się tylko, że może być niedoświadczonym i że się może pomylić w rachunkach.

Następstwem listu Emila, żądającego wypowiedzenia, było więc to tylko, że wypowiedzenia dość szybko jedne po drugich następować zaczęły.

Po wypłacie jednej i drugiej grubszej kwoty, Emil pobiegł do barona.

— Panie baronie — rzekł — miałbym prawo twierdzić, że to przeciwne umowie; ale tego nie powiadam bynajmniej. Wszystko co pan masz w spółce, jest pańską świętą własnością, a ponieważ to wynosi najmniej dziewięć dziesiątych kapitału spółki, więc i spółka cała może być uważaną za własność pańską. Jeżeli ją chcesz rozwiązać, możemy dziś zaraz przystąpić do likwidacji, ale takie wycofywanie kapitałów, te bezustanne wypowiedzenia, ta niewiadomość moja, czy interes ma trwać dłużej, czy być za miesiąc lub za kwartał zamkniętym, wszystko to źle wpływa na nasze interesa. Każdy bankier musiałby zbankrutować, gdyby od niego naraz wszyscy zażądali pieniędzy. W naszej spółce położenie jest takie, że pan baron sam jesteś główny wierzycielem i sam niejako sobie odbierasz kredyt.

— Cóż ja temu winien, panie Rzewnicki, kiedy interesa tak się złożyły? — odpowiedział baron spokojnie.

A w duchu myślał:

— Jeżeli się pokaże, że panicz ma pieniądze, że się nie zapuścił za daleko, że mi to czego żądam będzie mógł oddać w terminie, wtedy się przekonam, że obawy moje były niesłuszne, i znów mu kapitały moje powierzę; a wtenczas, choćby mi niewiem kto przysięgał, że to jest złodziej i galernik, złożę w jego kasie ostatnie dziesięć rubli, i nie będę się upominał aż mi sam zwróci.

Na szczególną próbę wystawiał p. Pogromski Emila. Postanowił zamorzyć go głodem, a potem dobrze karmić, jeżeli śmierć głodową wytrzyma.

Konferencja nie doprowadziła do niczego. Baron oświadczył, że tylko radami służyć może swemu spólnikowi, a rada jego była taka:

— Stosunki nasze są dla ogółu publiczności obce; nikt o tem nie wie, że mojemi robisz pieniędzmi. Miałeś dość czasu, żeby sobie otworzyć kredyt. Jeżeli ci trudność sprawiają moje żądania, ratuj się tym kredytem; w miarę jak oddajesz mnie, pożyczaj od drugich, i rób temi kapitałami to samo, co mojemi robiłeś. Będzie to nawet pożyteczne dla ciebie; bo będziesz potrzebował tylko procenta płacić, a nie dawać swoim wierzycielom udziału w zysku, jak mnie go dawać musiałeś.

Rzeczywiście Emilowi nie pozostawało nic innego, jak tylko zlikwidować cały interes albo pójść za radą barona.

Ale gotówka nie przychodziła na zawołanie, bo ma ona ten zwyczaj, że im bardziej na nią wołać, tem powolniej przychodzi. Póki Emil miał kasy pełne, póty nieraz znoszono mu kapitały, od których się wypraszać musiał. Gdy się odpływ zaczął, przypływ się jednocześnie zmniejszył. Jestto znany powszechnie w świecie bankierskim fenomen.

Baron Pogromski nie wycofał wszystkiego z interesu; pozostawił zawsze spólnikowi miljon, chociaż mu się właściwie nic nie należało od niego. Wynikło to ztąd, że sobie otworzył ów rachunek bieżący, o którym już wiemy i że na ten rachunek wybrał prawie już wszystko, co jako spólnik w kasie spółkowej jeszcze posiadał. O ile zatem spółka przynosiła zyski, dostawały się one w znacznej części baronowi i to najzupełniej za darmo. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE.

Wrocław w lipcu 1879 r.

(*Rzeińska powieść. — Paweł Heyse. — francuska powieść ludowa.*)

Wiadomo, że starożytna Grecja miała cały szereg powieściopisarzy. Zadziwia tedy, iż Rzym, który w części literackiej prawie wyłącznie Grecją naśladował, objąwszy po nią duchową spuściznę, tego pola literatury prawie wcale nie uprawiał. Jedyny Petroniusz był powieściopisarzem oryginalnym Rzymu, na który tytuł Apulejus, jako naśladowca nie zasługuje. Rzymianie nie mieli właściwej powieści ani w rozumieniu greckiem ani w naszem, ale mieli także pewien rodzaj beletrystyki. Wiadomo, jak wielkim czynnikiem nie tylko politycznego ale i literackiego życia Rzymu była sztuka mówienia, retoryka. Kiedy życie polityczne od czasów imperjatu, przestało należeć do ludu, kiedy „senatus populusque romanus" był tylko czczym frazesem, a właściwym ludem i rządem — wola cezarów, kiedy i retoryka przestała praktycznie na forum służyć, wówczas przeniosło się krasomówstwo do szkół, jako osobna dyscyplina naukowa, i do książek, jako lektura bawiąca, czyli beletrystyka, bo Rzymianie tak przywykli do krasomówczych ćwiczeń, iż się bez nich nawet wtenczas obyć nie mogli, kiedy straciły wartość i doniosłość praktyczną.

Przechował się dotąd cały zbiór mów i mówek szkolnych, zebranych pod firmą Quintiliana, choć Quintilian wszystkich nie napisał, które są nowelami, ubranemi we formę mów. Dla przykładu: „Pewne stadło małżeńskie ma dzieci, bliźnięta. Bliźnięta te zachorowały. Lekarze oświadczają, że bliźnięta zaniemogły na tę samą chorobę. Z wyjątkiem jednego lekarza oświadczają wszyscy, że dzieci z choroby nie wyjdą. Lekarz który wierzy w uzdrowienie, oświadcza, że uleczy jedno z bliźniąt, ale tylko pod tym warunkiem, jeżli drugie będzie mógł sekcjonować, aby się przekonać o powodzie choroby. Ojciec przystaje na to; lekarz kraje jedno z dzieci a drugie uzdrawia. Za pozwolenie sekcji oskarza matka męża swego przed sądami." Taka osnowa nie odpowiada wprawdzie pojęciom naszym o materjale powieściowym, jednakże ma podobieństwo do beletrystyki. Większość przedmiotów, obrabianych w tych pseudonowelach rzymskich, jest bardzo licha, niesmaczna, a nawet śmieszna. Jednak rozważyć trzeba, że między naszemi pojęciami a ówczesnemi zachodzi wielka różnica. Toć niedawnemi to jeszcze czasy, bo w przeszłym wieku, a nawet na początku bieżącego, pisano powieści z tak dziwnemi tytułami i tak dziwacznej treści, iż dzisiejszy czytelnik nie wiedziałby co z tą lekturą począć.

Choć powieści rzymskie nie są, jak nasze, obrazem swego czasu, choć trudno w nich szukać zwyczajów i obyczajów odnośnych epok, jednakże nie można ich zupełnie pominąć, gdyż przyczyniają się w pewnych razach do rozświecenia tych lub owych instytucji i osobistości.

— Pawła Heyse'go dzieła, przed kilku laty zbiorowo wydane, doczekały się kilkokrotnego wydania. Paweł Heyse jest głównie znany jako nowelista; nowelle jego są powiastkami wielkiego wdzięku: milutkie, misterne, często ciepłe, ale częściej niezrównanie wyrzeźbione niby cacka. Heyse napisał oprócz tego całe tomy wierszów i wierszyków. Tłómaczył mnóstwo poezji z włoskiego i hiszpańskiego. Tłómaczenia te mogą śmiało stanąć obok przekładów A. W. Szlegela, a nawet stoją wyżej od prac tak zwanego mistrza przekładów (Schlegel), bo odznaczają się nie tylko czystym językiem, doborową formą, wiernością przekładu, ale nawet obcym kolorytem, który z przekładu przebija. Heyse jest wirtuozem, jako wierszopis; w tym kierunku przewyższył wszystkich współczesnych pisarzów. Swego czasu był i Platen wirtuozem jako wierszopis; władał językiem niemieckim, jak nikt przed nim, naginał go do potrzeb, łamał go, zwyciężał, a jednak czuć było, że słowo nie płynie z piersi Platena lekkim strumieniem... bez przeszkód. Czuć było przymus, łamanie się I Heyse jest wirtuozem jako znawca języka, ale słowo płynie u niego łatwiej, wdzięczniej. Baczny czytelnik czuje bardzo dobrze, że autorowi głównie o misterną formę chodzi, że myśli w nim nie wiele, a jednak czyta raz, drugi i trzeci; bowiem łatwa i wdzięczna forma ma urok. Szczytem poezji nie jest oczywiście forma. Z tego stanowiska sądząc, nie możemy Pawła Heyse'go znakomitym poetą nazwać. Całą jego potęgą: nadzwyczaj misterna forma i liryzm. Treść w jego utworach, żadna, a przecież poemaciki milutkie. Jestto coś w ro-

dzaju francuskiej causerie: voilà le grand rien — nic, wielkie nic, ale miłe nic, bo cacko słowa.

Gdzie trzeba uderzyć w groźną strunę zbolałego serca, gdzie trzeba przemówić całą tragiką znękanej duszy, tam ustaje sztukmistrzostwo, bo tam zaczyna się genjusz, albo choćby talent. Tragika jest zawsze probierzem stopnia talentu, bo do tragiki potrzeba siły, potęgi. W strefach ulewy i grzmotu nie wytrzyma cichy, rozmarzony pieśniarz; jemu potrzeba światła i swobody, zacisza i kwiatów, a nie burzy. Heyse pisał także elegje. Choć elegja nie jest jeszcze czystą tragiką, bo słowo smutku czy żalu rozpłynąć się tu może w liryzmie, wszakże stoi ona już wyżej od zwyczajnej couserie. Dwa poemata Heyse'go tego rodzaju, z okazji śmierci dwojga dzieci poety, Marji i Ernesta, napisane, są namaszczone smutkiem ojca — prawda — ale i w tych robotach widać *robotnika*, wirtuoza, który nawet uczucie ojca żałobne hamuje, aby nie zaszkodzić eleganckiej formie. Nie tędy wiedzie droga do tragiki, bo żal nie zna granic ani przepisów, a właśnie w tem przełamaniu przyjętych zasad jest oryginalność twórcy. W literaturze naszej mamy także podobny poemat: Kochanowskiego treny po śmierci Urszuli. Pełniejszą falą rwie się tam żal do losu bezmiłosiernego. I w literaturze niemieckiej jest podobny pomnik, a starszy od Heyse'go elegji: Bürger'a ody żałobne. Ale Bürger był poetą pierwszego rzędu, a Heyse ostatniego. I tu między nimi różnica.

Kiedy Bürger swe ody napisał, krytykował go Szyler: poeta powinien odczekać, aż *osobisty*, dotkliwy żal przeminie, bo tylko wtedy jest panem słowa i formy, czyli tylko wtedy może smutkowi swemu nadać formę klasyczną, Julian Schmidt, znany krytyk niemiecki, uważa słusznie, że się Szyler omylił. Prawda. Są uczucia, które tylko pod wrażeniem chwili odpowiednie słowo znajdują: gdy miną, bledsze się wydają i słabsze. Właśnie owe wykrzykniki boleści, które się rwały ze serca Bürgera, pod wpływem wielkiego smutku, są okrasą jego ód. A tej okrasy nie mają elegje Heyse'go; jest on bowiem i tu, jak wszędzie, tylko sztukmistrzem, a nie artystą.

Paweł Heyse napisał także cały szereg nowel wierszem. Wybiera on za tło z upodobaniem obce kraje: Francję, Grecję, nawet Chiny.

Tam, gdzie chodzi o poprawną, elegancką formę, jest Heyse mistrzem. Najswobodniejszym czuje się autor w gatunku sielanek opisowych. Jego: „Idyllen von Sorrent," w których opisuje Wezuwjusz, morze, ciemno-błękitne niebo, woń pomarańcz, gaje cytrynowe, są niezrównane. Obrazki te przeplótł drobnemi wypadkami, śmiesznostkami, awanturami z własnego życia. Heksametr w tych poemacikach jest unikatem niemieckiej literatury; tak gładko i swobodnie płynie, że może bezpiecznie obok heksametrów Göthe'go stanąć.

Paweł Heyse jest także powieściopisarzem. Napisał obszerniejszą powieść pt: „Die Kinder der Welt". Powieść ta nieudała mu się wcale, a inaczej być nie mogło. Heyse zapomina, że powieść obszerniejszych poglądów potrzebuje, że musi mieć większe ramy. Powieść nie jest nowelą, a powieść Heyse'go nie różni się niczem od noweli. Postacie powieści nie mogą być dowolnego kolorytu, stosownie do widzimisię autora, bo powieść to obraz z życia zdjęty, to prawda. Nowela, rzecz inna. Jeźli postacie powieści mają tchnąć prawdą, wtedy potrzeba, aby konsekwentnie działały, a figury Heyse'go poruszają się bez wszelkich motywów. Czytelnik ciągle musi pytać: dlaczego tak czynią? a odpowiedzi nie znajdzie, chyba: bo tak się autorowi podobało. Nie wolno obrazu szkicować; obraz musi być dziełem wykończonem. Paweł Heyse nie ma w sobie materjału na powieściopisarza. Gdzie nie potrzeba, w drobnostkach, w szczegółach zbytnich motywuje i cieniuje troskliwie, a przejścia ważne szkicuje tylko. Rezultat będzie taki: jako nowelista, felietonista należy Heyse do znakomitych, jako powieściopisarz nie ma żadnej wartości, jako wierszopis włada najpoprawniejszą formą między współczesnymi autorami niemieckimi. Nowele jego, to zabawki, cacka, które się chętnie odczytywuje, kiedy się nie czuje usposobienia do głębszych emocji; wiersze jego, to bawidła, drażniące mile ucho smakosza literackiego; nic więcej.

— André Theuriet, francuski powieściopisarz i liryk, zajmuje się w ostatniem dziele swojem poezją ludową Francji. W dziele tem pt. „Sous Bois" poświęca cały ustęp poezji ludowej: „la poésie populaire et la vie rustique". Theuriet skarży się, że się Francja dotąd za mało poezją ludową zajmowała. Dopiero w najnowszych czasach wzięli niektórzy autorowie pieśń ludową w opiekę, zbierając rozrzucone po kraju, podawane z ust do ust, zachowane aż dotąd drogą tradycji zwrotki prostego ludu, które choć nie celują akademicką formą, tchną jednak świeżością, a i często głębią uczuć i pojęć zadziwiają. Theuriet zwraca uwagę współziomków swoich na wielki wpływ, jaki poezja ludowa na pierwszorzędnych poetów niemieckich wywarła, na: Goethe'go, Uhland'a, Heine'go. W Niemczech zajmowali się głównie zbieraniem powieści ludowych: Achin von Arnim i Klemens Brentano, u nas Zorjan Dołęga Chodakowski i Ryszard Berwiński, a we Francji była pieśń ludowa wyłącznym działem uczonych filologów. Theuriet zauważa bardzo słusznie, że filolodzy nie są odpowiednimi poezji zbieraczami. Do poezji potrzeba poety, którzyby odczuł piękności ukryte, a nie uczonego, co wszystko nagina pod pewne prawidła szkolnicze, tak zwane klasyczne. Poezja też ludowa francuska straciła pod ciężką ręką filologów świeżość, woń i urok naiwności dziecięcej. Theuriet przytacza osnowę jednej powieści „Złote klucze" na dowód wielkiego wdzięku ludowej poezji. „Młodzieniec słyszy kochankę swoją płaczącą na skale. Nadbiega i pyta się: dlaczego płaczesz, piękne dziecię? Złote klucze mego ojca spadły do morza. Dziewczyna powiada, że tylko temu serce na wieki odda, który klucze jej ojca z morza wydobędzie. Młodzieniec rozbiera się i zanurza w morze, ale kluczy znaleźć nie może. Wraca do kochanki, ale ta oświadcza powtórnie, że tylko temu serce odda, który jej klucze ojca przyniesie. Młodzieniec idzie do morza powtórnie, ale powtórnie daremnie. Zanurza się po raz trzeci i tonie. Wtedy podnosi się płacz na dnie morza: ryby wszystkie zawodzą żale nad śmiercią młodzieńca. Tylko na skale siedzi rzekoma kochanka i nie płacze, tylko woła: tego ukocham, który mi klucze ojca wróci. Nie była to kochanka, ale syrena, która się w postać kochanki utopionego ubrała, aby młodzieńca zgubić." Inna powieść ludowa ma koloryt średniowieczno - romantyczny. „Jakiś król zwołuje wszystkie niewiasty swego państwa, aby je poznać. W pierwszej, którą spotkał, zakochuje się. Panie margrabio — pyta król towarzysza swego — kimże jest ta pani? Panie królu — odpowiada zapytany — to moja żona. Król mianuje margrabiego marszałkiem Francji i wysyła go zdala od Francji, aby bez przeszkody z margrabiną romansować. Margrabia odjeżdża, margrabina staje się kochanką króla, ale zazdrośna królowa knuje zemstę. Królowa składa bukiet z białych lilji, który margrabinie ofiaruje. Od woni tych lilji umiera margrabina."

Pieśni i opowieści miłosne francuskiego ludu mają prześliczne zwroty. Np.: „O, gdyby miłość miała korzenie — woła ogrodnik — wtedy posadziłbym ją w moim ogrodzie. Sadziłbym ją daleko, szeroko, na wszystkie strony świata, abym ją mógł rozdać wszystkim dziewczętom które miłości nie doznały". Albo: „płakałem tyle, tyle łez wylałem — skarży się zawiedziony kochanek — iż się jeziora potworzyły. Jeziora zamieniły się na wielkie rzeki, a rzeki te obracają cztery młyny". Pieśni ludowe, opiewające małżeństwo, mają koloryt realno-tragiczny. Np. „Po roku pierwsze dziecię. Jaka to uciecha! Po dwóch latach dwoje dzieci. Zamiast uciechy nadchodzi teraz kłopot. Po trzech latach troje dzieci; to już piekielna uciecha. Jedno woła: chleba, drugie: zupy, trzecie; pić, a pierś matki jest chora. Ojciec siedzi w karczmie i wiedzie nikczemne życie, a matka siedzi w samotnym domku i płacze". Przytoczone przykłady niech wystarczą.

Theuriet twierdzi, że w tej poezji ludowej jest dość siły i świeżości, potrzebnej do ożywienia współczesnej liryki francuskiej. Dzisiejsza liryka francuska, to wielkomiejska dama.. bezsennemi nocy, nieprawidłowem życiem zdenerwowana i zgnuśniała. Apetytu nie ma, żołądek buntuje się, nerwy grają, odsmak, ciągoty, senność — potrzeba koniecznie odżywić świeżemi soki, pożywniejszą strawą zniewieściałą damę, a soki te tryskają z poezji ludowej.

T. Jeske-Choiński.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Ledwie, że chłopcy rozjechali się do domu na wakacje, już pojawiać się zaczynają wezwania różnych Władz szkolnych do nowych zapisów. Magistrat lwowski otwiera ośmioklasową szkołę żeńską w domu p. Lewakowskiego i te szkołę bezpłatną. Dyrekcja szkół rolniczych w Dublanach zwołuje amatorów aż do trzech różnych szkół, to jest wyższej, niższej i melioracyjnej. Trzeba przyznać, że od czasu przejścia tych zakładów pod zarząd kraju, wzięto się energicznie do urządzenia ich na stopę odpowiednią dzisiejszym wymaganiom nauki i potrzeb społecznych. Z egzaminów ubiegłego roku już widać znaczny postęp słuchaczy, a ci co znali ten zakład pod różnemi dyrekcjami, zapewniają, że nigdy nie miał tak pilnych i sumiennych uczniów, jak w roku bieżącym. Wprawdzie z jednorocznego kursu nie można jeszcze sądzić o przyszłości, jednak pan Dr. Au starał się oddać zakładowi prawdziwe usługi zorganizowawszy na prędce to, co rzeczywiście było w pewnym rozstroju. Szkoda więc, że nie pozwolono mu cokolwiek dłużej zarządzać temi Zakładami w Dublanach, bo w tych dniach zmieniono dyrekcję, przeznaczywszy na jego miejsce znanego agronoma p. Lubomęskiego. O ile słyszeliśmy Dr. Au zostaje nadal jako profesor szkoły wyższej do wykładu ekonomji społecznej, a tym sposobem jest na-

dzieja, że szkoła posuwać się będzie coraz wyżej, bo Wydział krajowy wziął sobie za punkt honoru postawić ją na stopie rzeczywiście wyższej instytucji narodowej.

Razem z ogłoszeniami o otwieraniu kursu nauk w szkołach publicznych, zjawiają się ogłoszenia życzących sobie przyjąć na stół i mieszkanie uczniów. Dla wielu rodzin zubożałych, w dzisiejszych czasach utrzymywanie studentów na stancji stanowi cały byt. Ze wszystkich zajęć dających jaki taki zarobek, to u nas liczy się już jako ostanie remedium, szczególniej dla tak zwanej zubożałej inteligencji, która to niby czemś jest, a fachowo jest niczem. Owdowiałe żony urzędników, zubożeni obywatele ziemscy, zbankrutowani przemysłowcy i inni, nie mogący sobie dać rady gdzieindziej, chwytają się tego ostatniego ratunku, urządzając prawdziwe polowanie na malców. Nie można mieć im tego za złe, każdy chce żyć, jednak władze szkolne powinny by zwrócić baczniejszą uwagę na tego rodzaju spekulacje i ścisłą rozciągnąć kontrolę nad kwalifikacją moralną osób trzymających u siebie studentów. Słyszeliśmy mnóstwo narzekań rodziców, że doznawali nieraz przykrego zawodu, powierzając swe dzieci osobom, które zobowiązań swoich tak pod względem materjalnym, jak i moralnym nie wypełniły. Jakkolwiek Lwów jest już większem miastem i ścisły nadzór nad prowadzeniem się uczniów po za szkołą nie da się tak jak w małych miasteczkach urządzić, to jednak władze szkolne mogą mieć pewne dane, co się tam dzieje po stancjach, kto i jaką opiekę ma nad uczniami, jak oni się zachowują, co robią, jak mieszkają? itp...

Dawniej, kiedy to jeszcze nie znaliśmy dobrodziejstw liberalizmu studenckiego, a profesorowie uważali się nie tylko za urzędników wykładających lekcje, ale i za opiekunów młodzieży, pieczy ich powierzonej, ten tylko mógł przyjmować malców na stancję, który miał pozwolenie na to właściwego dyrektora. Profesorowie mieli wyznaczone okręgi miasta w których, zaglądali często do mieszkań uczniów i sprawdzali ich postępowanie po za szkołą... Sam nawet naczelnik szkoły schodził z nienacka na wizytę, a dostrzegłszy jakiebądź nieporządki, karcił kogo wypadło, kontrolując w ten sposób profesorów, i utrzymujących uczniów... Ale inne to były wówczas pojęcia, inne potrzeby. Nie było towarzystw pedagogicznych, nie było rozpraw, ćwiczeń metodycznych, hygienicznych — dyetycznych i t. p... Pakowano uczniów jak śledzi do jednej klasy, nie bardzo dbano jak oni tam siedzą czy wysoko czy nisko, i w jakiej pozycji — jednak uczyli się ludzie po Bożemu jakoś w daleko krótszym czasie. Dziś kilkanaście lat trzeba prześlęczyć w szkołach i uniwersytecie nim się wyjdzie mędrcem— a w rezultacie pokaże się że mędrzec ten nie ma kawałka chleba takiego jak ma najprostszy czeladnik szewski, który po trzech latach terminu zarabia dwa razy tyle niż ukończony doktór. Jaka w tem leży przyczyna — dalibóg nie wiem, ale że tak jest, wielu mi przyzna z konkluzją, że musiano wtenczas jakoś praktyczniej ludzi wychowywać. Dlatego kiedy czytam ogłoszenie konkursu Towarzystwa gospodarskiego na napisanie dzieła o hodowli bydła rogatego w Galicji, przychodzi mi na myśl, czemu to kto nie rozpisze konkursu na rozprawę o najkorzystniejszem wychowaniu ludzi odpowiednio do potrzeb i stosunków galicyjskich w ten sposób, żeby ani sobie ani społeczeństwu nie byli ciężarem. Być może, że inteligencji bezbarwnej mamy za wiele, a ludzi użytecznych za mało; być może przeszczepiamy zanadto obcych tendencji na jałowy grunt, gdzie one rość nie mogą jak się należy — dość że tworzy się u nas formalny proletarjat inteligencji, łaknący, zdesperowany i godzien rzeczywiście uwzględnienia. Biblioteka warszawska zrobiła początek w tym sensie naznaczywszy dość sporą sumę za napisanie wzoru dla obywatela polskiego, jakim w tych czasach być powinien. Lecz pierwszy termin przeszedł, i nikt się nie zgłosił, a zdaje się i drugi przejdzie bez rezultatu, albowiem nie łatwą to rzeczą być prorokiem u siebie, a nawet zwyczajnym mędrcem wśród blagi powszechnej.

Od niejakiego czasu pisma nasze zamieszczają sprawozdania Instytutu meteorologicznego w Döbling pod Wiedniem, o stanie pogody europejskiej. Ze sprawozdań tych nasza szlachta podczas żniw bieżących niesłychanie korzysta dowiadując się, jaka jest wysokość barometru w Szkocji, Hiszpanii, a nawet północnej Rossji. Wszędzie zapowiada się pogoda, a gdy ma być deszcz, to u nas leje już od trzech dni. Nie zaprzeczamy, że tego rodzaju wiadomości mogą być bardzo użyteczne dla nas, ale potrzeba, żeby ktoś z panów fachowych objaśnił bliżej o ich hyroglificznem znaczeniu i nauczył, co mamy sądzić o pogodzie na jutro, jeżeli np. w Szkocji barometr trzyma 765. Dla nas pożądańszą byłaby wiadomość co się dzieje w Krakowie lub dalej na Zachód, zkąd zwykle zmiany atmosfery nadchodzą do nas po upływie doby — jaki jest kierunek wiatru, i zkąd grozi niepogoda? Tak dalece nie jesteśmy wtajemniczeni w specjalności nauki meteorologicznej, aby te kilka cyfr napisanych w gazecie mogły nas interesować i służyć na jakiś użytek. Jeżeli co ma być z tego prosimy o informację.

Praktyczniej już urządziło się gremium aptekarzy Wschodniej Galicji, urządzając we Lwowie pracownię chemiczną przy ulicy Ormiańskiej, gdzie można za stosowną opłatą zażądać rozbiorów chemicznych różnych ciał i sprawdzać falsyfikaty, o które teraz nie trudno.. Pracownia taka była bardzo potrzebną u nas i na czasie, dlatego spodziewamy się, że potrzebujący tego rodzaju wiadomości i doświadczeń, będą z niej korzystać.

Lwów zaczyna się potrochu zaludniać, — zmoczeni i wynudzeni willegiaturą amatorowie letnich wycieczek, wracają powoli z chronicznym katarem, którego się tam nabawili. Wojska przybywają z okolicy na manewry, deszcz leje jak zwykle, chłodno, głodno i do domu daleko...

Słowem nie tęgie mamy miny, bo wszystko drożeje, nic się nie udaje, i gdyby nie wielkie zmiany polityki austrjackiej w Wiedniu, dymisja ministerjum przedlitawskiego, dymisja ministra spraw zagranicznych, wejście Czechów, wyjście Moskali — nie byłoby o czem gawędki towarzyskiej prowadzić.

Wieliczka się zapada! — krzyczano w tych dniach, ta nieszczęśliwa Wieliczka, która się jeszcze z ostatniego pożaru nie odbudowała. Nabożni powiadają, że to jest kara za grzechy byłej Rady miejskiej, jak ongi pięciu miast w starożytności — my temu nie wierzymy, uważając to pękanie ziemi za przestrogę, że ze sprawiedliwością Bożą igrać się nie godzi.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** „Dwutygodnik naukowy, poświęcony archeologji, historji, i lingwistyce — w zeszycie I. za m. sierpień, zawiera:

I. Przyczynek do zbioru przysłów, piosenek, ucinków i przypowieści od nazw rodowych i miejscowych, przez J. Karłowicza.

II. Teorja wpływów kultury fenickiej przez F. Ziemięckiego.

III. Recenzja: Materjalizm zur Vorgeschichte des Menschen in östlichen Europa, von Albin Kohn u. Dr. C. Mehlis, przez T. Z.

IV. Wiadomości.

*** W Warszawie wyszła książeczka p. W. Okońskiego p. t. *O życie.* Są to trzy obrazki wybornie z życia naszego uchwycone, w których autor dowodzi, że każdego kto chce uczciwie na naszej ziemi pracować, Moskala, Żyda, czy Niemca powinniśmy za brata uważać i do serca przygarnąć.

*** „Wspomnienia z Przeszłości", opowiadania Deotymie. Pod tym tytułem „Kronika rodzinna" rozpoczęła druk pracy A. E. Odyńca; autor chce opowiedzieć przyjaciółce poetce wspomnienia o przyjaciołach poetach, towarzyszach życia i pracy. w pierwotnej epoce poezji naszej, i do poezji tylko wyłącznie i jedynie odnoszące się.

*** P. Adam Chodyński, znany współpracownik „Kaliszanina", przygotowuje do druku obszerną monografię Kalisza.

*** Wyszło z pod prasy interesujące i godne uwagi studjum p. Wacława Holewińskiego „Zasługi Kopernika dla cywilizacji".

Rzecz ta czytana była w Warszawie na dochód muzeum Kopernika, obecnie zaś została znacznie dopełnioną i rozszerzoną.

*** Ukazała się w osobnem z „Pamiętnika warsz. Tow. lek." odbiciu wyczerpująca praca dra Adolfa Rothego p. t. „Przyczynek do psychjatrji praktycznej".

*** Wyszedł z druku w języku czeskim I. zeszyt obszernego dzieła, p. t. *Život zwirat* (Żywot zwierząt), przez dr. A. E. Brehma ozdobiony wielu pięknemi illustracjami.

*** Ukazały się dwa zeszyty utworów poetycznych p. Bronisława Prawdomówskiego, jeden pod tytułem *Córka Neptuna* i *Olbrzym północy*, a drugi p. t. *Ani z soli, ani z roli, ale z tego co mię boli.*

*** Uniwersytet edynburgski przyznał nagrodę Camerona za rok 1878 doktorowi Pawłowi Bert'owi. Nagroda ta, w sumie 1500 franków, przeznaczana jest corocznie dla lekarzy, którzy w ciągu roku zrobili najważniejsze odkrycie w dziedzinie terapentyki. Dr. Bert otrzymał nagrodę Camerona za rezultaty praktyczne w doświadczeniach nad ciśnieniem barometrycznem.

*** W Vienne (Isére). W pierwszych dniach października zbierze się kongres naukowy; głównym celem kongresu są studja starożytności rzymskich.

*** Serce. Profesor Beneke w Marburgu (w Niemczech) od lat dwóch robi studja nad sercem ludzkiem i doszedł do następujących rezultatów popartych wymierzeniem serca w 970 rozmaitych momentach: Serce rośnie najwięcej w 1 i 2 roku życia. Objętość serca nowonarodzonego dziecka podwaja się do drugiego roku życia. Od 2 do 7 roku życia serce znów się podwaja a dalej wzrost jego odbywa się aż do r. 15 powolnie. W tym czasie powiększa się ono tylko o $\frac{3}{4}$ w porównaniu z początkiem okresu, poczem wzrost wstrzymuje się, choć trwa do 50 roku życia i w tym okresie wynosi rokrocznie mniej więcej centymetr sześcienny. Od 50 roku rozpoczyna się powolne zmniejszanie serca, co uważać należy za zanikane właściwe starości, które i na innych organach zauważyć można. Ciekawem jest, że w wieku dziecięcym objętość serca u obojga płci jest równa, podczas gdy od wieku dojrzałości rozwój serca u kobiet jest daleko mniejszy niż u mężczyzn. Różnica wynosi 25—30 centymetrów kubicznych i nie zmienia się już przez całe życie.

*** W prawo czy w lewo. P. Gretan Delauney przedstawił paryskiemu towarzystwu biologicznemu rozprawę zajmującą się rozbiorem pytania: dlaczego

ludzie mają skłonność kierowania się więcej na prawą niż na lewą stronę? Dotąd dopatrywano przyczyny tego objawu w wychowaniu i przyzwyczajeniu, p. Delauney jednak wyprowadza ją z budowy anatomicznej mózgu. Autor rozbiera w swej rozprawie mnóstwo przykładów, poczawszy od wypadków życia codziennego, a kończy na zgromadzeniach politycznych i wędrówkach narodów. Wnioski, jakie autor wyciąga ze swych spostrzeżeń, dadzą się streścić w kilku słowach: Wiadomo, że nerwy prawej połowy ciała wychodzą z lewej półkuli mózgowej i odwrotnie, ponieważ zaś istoty wyższe mają lewą półkulę mózgową bardziej rozwiniętą niż prawą, poczuwają przeto większą skłonność do kierowania się w stronę prawą. Z tego wynika, że ci, którzy idąc, trzymają się prawej strony, są więcej inteligentni i wykształceńsi od tych, co chodzą po lewicy! — Rozprawa p. Delauney zawiera w sobie bezwątpienia wiele obserwacyj nieścisłych, ma jednak zasługę oryginalności.

*** Greckie towarzystwo archeologiczne czyni chwalebne usiłowania celem zachowania arcydzieł ubiegłych wieków.

Towarzystwo to zadecydowało restaurację sławnego lwa Cheronejskiego, którego szczątki leżą w błotnistym kanale pod wsią Kapurna w Beocji. Wiadomo, że lew ten, olbrzymich rozmiarów leżał niegdyś na grobie Beocejczyków poległych w bitwie z Filipem w r. 338 przed Chr. Pomnik ten zachował się aż do czasów ostatniej wojny o niepodległość, podczas której jeden z dowódców greckich Ulisses, spodziewając się znaleść pod nim skarby, kazał go wysadzić w powietrze prochem. Towarzystwo ma zamiar zebrać rozrzucone szczątki, i dzieło zostanie z łatwością zrestaurowane, zwłaszcza, że głowa lwa nie jest uszkodzoną.

Prasa perjodyczna.

*** W Nevers trybunał sądowy wydał wyrok w procesie wytoczonym przez arcybiskupa w Aix dziennikom „Patriote“ i i „Republique de Nevers.“ Ogłosiły one szczegóły z życia prywatnego arcybiskupa, oraz dotyczące jego pochodzenia. Sąd skazał każdy z dzienników na zapłacenie 2050 franków, tytułem kary, jakoteż wynagrodzenia szkód i straconych korzyści.

*** Gazetę „Ordre“‘ organ banapartystyczny, nabył pan Pascal, były prefekt departamentu Girondy.

Sztuki piękne.

*** Jury akademji sztuk pięknych w Paryżu, ogłosiło wyrok o konkursie o „grand prix de Rome (sekcja rzeźbiarska): „grad prix“ przyznano p. Leonowi Tagel, pierwszą drugą nagrodę p. Momburowi, drugą drugą nagrodę p. Edwardowi Répin.

Teatr.

*** Gmach i salę komedji francuskiej całkowicie odrestaurowano kosztem 280,000 fr. Onegdaj odbyło się pierwsze przedstawienie, którego bohaterami byli Got i Coquelin. Publiczność wybuchła entuzjastycznemi oklaskami w chwili odsłonięcia biustu Moliera, około którego ugrupowali się wszyscy artyści. Na przedstawieniu znajdował się też i Grévy.

Szkoły.

*** Dyrekcja c. k. Instytutu Techniczno-przemysłowego w Krakowie, wydrukowała broszurę, zawierającą program tegoż Instytutu. Znajdujemy tam: Ogólne postanowienia, warunki przyjęcia do Instytutu, plan nauk w r. 1878/9, spis wykładów, etat osobowy Instytutu i wykaz stypendjów pobieranych przez uczniów Instytutu w r. 1878/9. W tym ostatnim dziale, wyczytaliśmy jedno największe stypendjum w kwocie zł. 300, udzielane z funduszów prywatnych Dyrektora p. Stanisława Ziembińskiego, rzecz, należy przyznać, zdarzająca się nie często.

*** W Sorbonie d. 4. sierpnia nastąpiło uroczyste rozdanie nagród. Przy wejściu ministrów ze świtą orkiestra zagrała „Marsyljankę“. Na estradzie zasiedli: Gambetta, którego przyjęto żywemi oklaskami; ministrowie: Ferry, któremu urządzono kilka minut trwającą owację; Waddington, jenerał Gresley, książę Hohenlohe, chiński poseł i wiele znakomitości. W chwili gdy orszak zasiadł, rozległ się okrzyk: „Vive le roi!“ Wyszedł on z ławek zajętych przez uczniów kolegium Stanisława. Powstało zamięszanie. Ozwały się protesta, oraz okrzyki na cześć rzeczypospolitej. Wtedy dano znak orkiestrze, która znów zagrała „Marsyljankę“. Zaniepokojenie zostało w ten sposób zakończone. Po zwykłej mowie łacińskiej zabrał głos minister Ferry, przedstawiając konieczność reform, któreby położyły kres ciągłym niesnaskom. Obecni ozwali się głośno „Vive la république!“

*** W Berlinie 27. lipca zebrał się trzeci kongres nauczycieli zakładów dla ociemniałych. Zauważono delegatów niemieckich, angielskich, francuskich, austrjackich, holenderskich, belgijskich, szwedzkich, norwegskich i duńskich. Minister oświaty nadesłał bardzo życzliwe pismo.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Od zarządu towarzystwa politechników polskich w Monachjum otrzymaliśmy następującą odezwę:

I. „Towarzystwo polytechników polskich w Monachjum z powodu małej liczby członków zostaje zawieszonem na trzy miesiące t. j. od 1go sierpnia do 1go listopada b. r.; cały zaś majątek jego pozostaje przez ten czas pod opieką i odpowiedzialnością jednego z członków czynnych Towarzystwa.

II. „Na początku roku szkolnego przyszłego będzie na czarnej tablicy, dla ogłoszeń towarzystw w Politechnice przeznaczonej, uwiadomienie, do kogo mają się zgłosić politechnicy Polacy chcący do Towarzystwa należyć.“

III. „W razie gdyby Towarzystwo istnieć nadal nie mogło, cały jego majątek zostanie przesłanym Towarzystwu bratniej pomocy słuchaczów politechniki we Lwowie — o czem publiczność będzie w gazetach uwiadomioną.“

Monachium dnia 1go sierpnia 1879 r.

*** C. k. urząd loteryjny w Buda-Peszcie ogłasza wielką loterję na korzyść dotkniętych powodzią mieszkańców m. Szegedyna. W loterji tej główną wygraną stanowić ma 50.000 złr. w rencie złotej państwa. Ciągnienie odbędzie się 30 września r. b. a bilet kosztuje 2. złr.

*** Szczególne zjawisko upatruje „Gołos“ w tej okoliczności — jak wyznaje w jednym ze swych odcinków — że wykształcenie filozoficzne w Rosji nie istniało. Nie możemy — powiada dziennik — przytoczyć, z żadnej epoki historycznego żywota naszego, żadnego imienia, któreby mogło stanąć obok imion Hegla, Spinozy i innych. Nie mieliśmy żadnego samodzielnego myśliciela, któregobyśmy, choćby przez patrjotyzm, z naciąganiem, umieścić mogli w poczcie znanych światu myślicieli europejskich. Tymczasem, w dziedzinie przeczenia łatwobyśmy wskazali takie *salto mortale*, na widok których cudzoziemcy otworzyliby usta z podziwu. To ztąd, zapewne pochodzi, że nie przywykliśmy do śledzenia kierunku myśli naszej, oraz że najłatwiejszą rzeczą — jest przeczenie. Cóż więc dziwnego—jeśli to łatwe—że darwinistę, np., albo darwinistkę (t. j: parodjujących Darwina) spotkać możemy — nawet w urzędniku intendentury albo w instytutce?

*** W Berlinie władza policyjna wydała przepisy nakazujące pod karą zamknięcie sklepów i lokalów publicznych w niedzielę i święta.

*** Lista gości kąpielowych w Ems wykazuje 10,600 osób.

*** W Poznaniu projektowane jest założenie kolei konnej żelaznej wzdłuż całego miasta.

*** Wędrówki ludu. — P. Jadrincew w umieszczonym w „Otieczestw zapiskach“ artykule p. t. „Los przesiedleń rosyjskich za Ural“, powiada, między innemi, że od r. 1853 do 1878 do samej gubernii tomskiej przesiedliło się osób 35.000.

— Dokądże to? — spytacie państwo — mówi p. Jadrincew — przesiedlających się, którzy już przeszli wiorst kilka tysięcy.

— Nie wiemy — odpowiadają — tam, gdzie lepiej będzie! W gubernii permskiej są miejsca, jak słyszymy — a i orenburską ludzie chwalą — doradzają też samarską.

*** Koszta usunięcia śniegów na górze św. Gotarda wyniosły tego roku 48,000 franków, a zatem przewyższyły o 25,000 subsydjum przyznane przez konfederację kantonowi Tessin; musiano wykopać w śniegu, w dolinie Tremali, przejście długie na 50 metrów, które zawaliło się dopiero w dniu 21 lipca.

*** W Toruniu w dniu 10 b. m. obchodzoną będzie rocznica śmierci księcia biskupa warmińskiego, kardynała Stanisława Hozyusza.

*** Sekta „dziuropieków.“ — Korespondet do gazety „Saratowskij listok“ donosi o nowych sekciarzach w gub. saratowskiej, tak zwanych: „dziuropiekach“. Kupiony na rynku kołacz lub bułkę wprzód kładą u siebie w domu do pieca, w którym zrobiony jest otwór niewielki, przez ścianę domu, na ulicę albo w podwórko. Tą właśnie dziurą wszelka sprośność i brzydota, podług wierzenia dziuropieków, udzielona darowi Bożemu rękami prawosławnemi, ma wyjść z kołacza lub z bułki.

*** Starych kawalerów chcą osobno opodatkować w Brazylii. Wniosek w tym względzie przedłożony został parlamentowi w Rio de Janeiro przez deputowanego Martin Francisco, który motywował go w ten sposób, że obywatele żonaci zkąd inąd już ponoszą wiele różnych ciężarów, utrzymywać muszą żonę i wychowywać dzieci, podczas gdy starzy kawalerowie „są tylko wiecznymi wichrzycielami w stosunkach towarzyskich“ —słowem, słuszną jest rzeczą, ażeby ci panowie opłacali się za swoje stare kawalerstwo 50 dolarami rocznie. Rozprawa nad tym wnioskiem otwarta, zawierała wiele zabawnych momentów, nie doprowadziła jednak w pierwszym dniu do stanowczego rezultatu.

*** W Hamburgu przed kilkoma dniami pochowano zwłoki kierownika partji socjalno-demokratycznej, Augusta Geiba. Za trumną postępowało około 20.000 osób. Porządek zachowany. Nad grobem przemawiali socjalni demokraci Blos, Liebknecht, Hasenclever i Aner.

Wynalazki i odkrycia.

*** Pan Liwczak, Lwowianin, nauczyciel szkoły realnej w Wilnie, zbudował maszynę dla składania czcionek, z maszyną tą odbywały się próby w obec specjalistów i przedstawicieli prasy w Warszawie. Zagadnienie, nad którem od pewnego czasu w Ameryce i Europie pracują, rodak nasz stanowczo i ostatecznie rozwiązał. Zasada przyrządu została trafnie obmyślana, a wykonanie jest wzorowe, matematycznie dokładne.

Stojący przy maszynie drukarz posuwa po sztabce stalowej rolkę, zatrzymując się przy literze, która chce odbić, ruch ten wywołuje obrót koła, na którem osadzone są litery i liczby stalowe, żądany znak odbija się na podłożonej matrycy; praca idzie prędko, w ciągu jednej minuty odbija się przeszło pięćdziesiąt liter. Na matrycy, po dopełnieniu korekty, odlewa się deska stereotypowa, i włożona w maszynę drukuje. Przy użyciu tedy maszyny pana Liwczaka, czcionki są niepotrzebne, robota idzie spieszniej, mozolna praca drukarza wielce się ułatwia, a otrzymanie tablic stereotypowych, staje się zadaniem łatwem i taniem.

Korzyść jest widoczna, ale niezależnie od niej, sam widok pomysłowej i tak sumiennie wykonanej pracy, której p. Liwczak wiele lat poświęcił, cieszy widza i budzi szacunek dla zdolnego i wytrwałego rodaka.

*** W Vico Equense, na drodze z Castellamare do Sorrente, w pobliżu Neapolu, zrobiono interesujące odkrycie archeologiczne. Odkryto mianowicie w głębokości pięciu metrów wspaniały grób etruski, zawierający posążki bożków i wazy wysokiej wartości. Na wazach są wyrzeźbieni wojownicy konni, kapłanki, satyry i inne osoby mitologiczne.

*** W laboratorjum arsenału królewskiego w Woolwich pilne odbywają się próby z nowemi kartaczownicami systemu Nordenfeldta. Nowa broń przeznaczoną jest głównie dla floty, mianowicie przeciw łodziom torpedowym, którym kule karabinowe wcale nie mogą szkodzić. Pociski używane do kartaczownicy Nordenfeldta mają cal w średnicy i ważą pół funta, a na odległość 8 0 kroków przebijają na wylot stalowe pancerze, trzy ćwierci cala grube. Nowe te kartaczownice składają się z czterech rur, silnej konstrukcji, a zapalanie nabojów uskutecznia się za pomocą elektryczności.

*** W Tuluzie ciekawą odbył w tych dniach przeprawę p. Mont, mechanik. Zaopatrzywszy się w aparat własnego pomysłu, przepłynął on na rzece Garronnie do Bordeaux Przeprawa trwała około tygodnia. Przyrząd odazał się praktycznym.

Podróże.

*** Na wiosnę roku przyszłego wypłynie z Anglji ekspedycja, celem odkrycia północnego bieguna. Staraniom komandora Cheyne udało się utworzyć londyński północny główny komitet, któremu będzie poddanych 49 prowincjonalnych komitetów. Angielska ekspedycja wspartą zostanie ekspedycjami Szwecji, Holandji, Ameryki, Austrji i Danji.

*** O wyprawie pułkownika Przewalskiego do środkowej Azji donoszą: Dnia 13. maja wyprawa znajdowała się nad rzeką Buługuni. Pułkownik Przewalski przebył 600 wiorst do Zajsanu w kierunku ujścia rzeki Uruczy i dąży do Chami przez południowy Altaj. Wszyscy członkowie wyprawy są zdrowi.

Handel i przemysł.

*** Cło w Niemczech. Jeden z poważnych domów gdańskich zakomunikował następujące wiadomości tyczące się ustanowionego cła w Niemczech. Ogłosiła je „Gaz. handlowa“. Co prawda podane tu cła nie zgadzają się z cyfrą przez dzienniki przy streszczeniu podawane.

Według zapadłej decyzji w sejmie niemieckim, ustanowioną została nowa taryfa celna, pozwalamy sobie przeto obznajmić interesowanych z następującemi danemi, dotyczącemi tak interesującego ich cła, jak również terminu, w którem takowe zostanie zaprowadzone.

Nadmieniamy jeknakże, iż obecnie nie jesteśmy w stanie zakomunikować nic pewnego względem manipulacji handlu tranzytowego i tegoż składu. W każdym jednak razie należy przyjąć za pewne. iż zaprowadzonym zostanie handel i skład tranzytowy, a zatem te tylko produkty będą wolne od cła, które nie będą skupowane dla kraju, lecz eksportowane dalej za granicę.

Bliższe szczegóły i przepisy w tym względzie będą opracowane wkrótce, przez odpowiednią rządową komisję. W praktyce dopiero okaże się później, czy koszta i ograniczenia składu tranzytowego przyszłych przepisów nie będą uciążliwszemi dla pojedyńczych artykułów jak np. drzewo. Łatwiejszem w przeprowadzeniu jednak będzie tranzytowy handel zbożem, zwłaszcza pszenicą, żytem i jęczmieniem. Przy innych zaś gatunkach zboża, jak rzepak i rzepik, zakupujących się po większej części kla kraju, będzie należało przyjąć opłaty cła. Jak już wyżej wspomnieliśmy, praktyka nas obznajmi z tem wszystkiem!

Wedle postanowienia cło będzie pobieranem:

Z dniem 1-go października r. 1879.

Od rzepaku, rzepiku 38 fen., od 100 kilo., czyli m. 3 od tony.

Z dniem 1-go stycznia r. 1880.

Od pszenicy, żyta, owsa, zboża strączkowego i bliżej nie oznaczonego m. 1 od 100 k., czyli m. 10 od tony.

Od jęczmienia, kukurydzy, gryki i słodu m. 1.20 od 100 k., czyli m. 12 od tony.

Od wyrobów młynarskich ze zboża jak i owocu strączkowego, szrutowego lub obłupanego ziarna, krupy i mąki gryczanej lub razowej m. 2 od 100 k., czyli m. 20 od tony.

Z dniem 1-go października r. 1879.

Od drzewa budulcowego i używalnego w surowym stanie lub też obciosanego 10 f. od 100 k. lub f. 60 za kubik m.

Od drzewa piłowanego lub innym sposobem jak siekierą obrobionego, rozdrobnionego, klepek oraz drzewa piłowanego lub tartakowego 25 f. od 100 k. czyli m. 1.50 za kubik metryczny.

To są pozycje interesujące ogół handlujących u nas.

Nadmienić jeszcze wypada, iż rodzaj oclenia lub zadeklarowania na granicy, dziś nie da się jeszcze na pewno oznaczyć. Na granicach zapewne utworzą się domy spedycyjne, które zajmą się owem ocleniem. Radzimy jednak wysyłającym przy transportach drzewnych zaopatrzyć zwykle swych szyprów w specyfikację drzewa, o ile możebnem, obliczoną w kubikach metrycznych, bo tym sposobem unikną żmudnego i kosztownego mierzenia i obliczania takowego.

Statystyka.

*** Pożary w ciągu upłynionego miesiąca czewca poczyniły w królestwie Polskiem następujące straty, w gubernjach: warszawskiej rs. 114,481, kaliskiej rs. 10,630, kieleckiej rs. 8 256, łomżyńskiej rs. 21,084, lubelskiej rs. 74,991. piotrkowskiej rs. 58,885, płockiej rs. 18,779, radomskiej rs. 6,820, suwalskiej rs. 79,083 i siedleckiej rs. 34,461, wogóle rs. 407,470. W całem zaś cesarstwie rs. 12,064,492.

*** Z dzieła doktora medycyny Adolfa Rothe pod tytułem: „Przyczynek do psychiatrji praktycznej“ oparty na 10-letniem doświadczeniu w warszawskich zakładach dla obłąkanych, podajcmy jeden ustęp przedstawiający statystykę szpitala Jana Bożego.

W ciągu dziesięciu lat (1867—76) przybyło do zakładu 3,664 chorych, a mianowicie mężczyzn 1,784 i kobiet 1.880, z tej zaś liczby: wyzdrowiało 544 mężczyzn i 513 kobiet; wyszło z zakładu z polepszeniem 514 mężczyzn. 540 kobiet; bez polepszenia 155 mężczyzn, 412 kobiet; umarło wreszcie 575 mężczyzn, 337 kobiet, razem ubyło z zakładu 3,590.

W ogóle tylko $^1/_{10}$ chorych umysłowo w kraju szuka pomocy w zakładach, w ten więc sposób lekarze mają do czynienia tylko z chorobami, które do njatrudniejszych zaliczyć można, a mianowikie z chorymi w stanie najwyższego rozdrażnienia, z upartym jadłowstrętem, dążnością do odebrania sobie życia itd.; wobec też tego rezultat leczenia nie może być zbyt świetny i niepowinna dziwić stosunkowo dość znaczna cyfra śmiertelności.

Zjawiska przyrody.

*** Straszna burza w dniu 27. lipca zrządziła wielkie spustoszenie w Tryeście, zwłaszcza w przystani tego miasta. Po siódmej wieczór zerwała się trąba powietrzna i porwała w przystani łódź, na której znajdował się kapitan statku handlowego Lewy, z żoną, córeczką, bratem i narzeczoną tegoż, oraz trzy inne osoby. Stojąca na kotwicy barka szwedzka „Nitingale“ wysłała bezzwłocznie pomoc, pomimo to z ośmiu wymienionych osób, pięć tylko zdołano uratować, zaś żona kapitana z córeczką i krewną swoją utonęła. W nowym porcie tryesteńskim wicher rzucił łódź pomiędzy parowiec angielski „Cyprian“ a wybrzeże, przyczem jeden człowiek został zgnieciony na śmierć a trzech wyratowano. W zatoce Św. Bartłomieja statek austrjacki „Maria Concetta,“ który płynął z ładunkiem węgla, rzucony został o wybrzeże i zatopiony. W ogólności 23 statków w porcie tryesteńskim doznało mniej, lub bardziej groźnego uszkodzenia.

*** W okolicach Pilzna pojawił się chrząszczyk ziemniaczany „colorado“.

HISTORJA CHUSTKI OD NOSA.

Pomysłowy wiek XIX. nie zaniechał napisać już historji każdej z osobna części ludzkiego odzienia.

Znamy początek każdej materji i tkaniny, które moda przepisuje z dnia na dzień obu połowom rodzaju ludzkiego — o jednem tylko dotychczas zapomniano.

Tym kopciuszkiem toalety, zarówno męzkiej jak niewieściej, cóżby innego było, jak nie skromna i potulna — chustka od nosa?

Jest to najnowocześniejsze uzupełnienie toalety.

Nowoczesne dla tego, ponieważ dopiero zwyczaj zażywania tabaki zrodził „historyczną konieczność“ używania tego czworokątnego kawałka płótna lub bawełny, który nazwaliśmy „chustką od nosa“; tabaka zaś zbliżyła się do nosa ludzkiego dopiero w XVI. stuleciu ery chrześcijańskiej.

Zapyta kto: a zatem przodkowie nasi przed wiekiem XVI. nie cierpieli na żadne przypadłości tego organu ciała ludzkiego, który spoufala nas z woniami Arabji i narkotycznym swędem kuchni?

Czy katar, który się tak rozgościł wśród naszego stulecia nerwowego, nie trapił granitowych organizmów minionych pokoleń?

Niewątpliwie, że tak — ale posiłkowano się metodą, pełną prostoty i właściwego wdzięku, która do dzisiaj przechowała się u gminu lubującego się, jak wiadomo, w rozmaitym konserwatyzmie.

Historja milczy o używaniu chustek od nosa u ludów starożytnych: Hebrejczyków, Chaldeów, Assyrów, Persów.

Co do Greków i Rzymian, którzy wszystko robili „klasycznie“, to nie znali oni właściwych chustek od nosa, ale natomiast mieli chustki używane do ocierania potu (*sudarium*), przeznaczone do osuszania twarzy przy nazbyt silnej transpiracji ciała.

U wytwornisiów Aten i Rzymu był zwyczaj jedno takie „*sudarium*“ trzymać w rękach, a drugie za przepaską u bioder, ale nie miały one nigdy charakteru i przeznaczenia naszych chustek.

Ocieranie nosa w sposób dziś używany uchodziłoby podówczas za nieokrzesaną barbarję, za brak schludności; robić nosem szelest w towarzystwie, nieunikniony przy użyciu chustki — byłoby to niesłychane, brutalne, zwierzęce!

Cyrus wyraźnie zakazał jak najsurowiej nosom perskim dawać jakiekolwiek oznaki życia, toż samo stosowało się do plucia; o zakazie tym pisze historyk bardzo poważny i plotek stroniący — Ksenofon.

Było to w dobrym tonie, ażeby mówcy na trybunach i poeci na konkursach śpiewaczych i gędziebnych wstrzymywali się od spluwania.

Pozostała im jedyna wolność — jako lekarstwo uniwersalne — ocierania sobie potu z czoła.

Placit opowiada, że w starożytnym Rzymie, zanim młodzieniec rozpoczął konkury o rękę panny, przedewszystkiem troskliwie się dowiadywał, czyli takowa posiada nos, niepochopny do żadnych nieprzyjemnych wydzielin, a Juwenal wspomina o rozwodzie pomiędzy małżonkami, z tego jedynie powodu dokonanym.

Dzisiaj chustka od nosa weszła tak w „krew i soki“ naszych stosunków towarzyskich, że pożałowania godny człowiek, który zapomniał zaopatrzyć się w takową, nie zazna ani spokoju ani rozkoszy w najmilszem towarzystwie.

W świecie eleganckim zbytek na tem polu zaczyna przybierać zatrważające rozmiary: brzegi naszych chustek zaopatrujemy najartystyczniej wykonanemi haftami i koronkami, litery i godła zdobimy najkapryśniejszemi arabeskami.

Niejeden z tych wytwornych łachmanków kosztuje bajeczne sumy, a najciekawszem jest to, że nasze piękne damy nie robią z nich prawie żadnego praktycznego użytku.

Surowe przepisy Cyrusa znalazłyby w szeregach współczesnych cór Ewy, które ani nie ucierają nosów, ani nie kichają, nader przykładne i chętne zastosowanie.

Chustka do nosa spełnia dziś także częstokroć funkcję — telegrafu...

W wielu dystyngowanych towarzystwach pełni ona podobną służbę, co wachlarze.

A na scenie także już nieraz grała rolę bohaterek: przypominamy „Otella“, „Tartuffa“ i „Ruy Blasa“,

Któż zgadnie, jaka przyszłość ją czeka?...

Treść Nr. 29.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.